Dywersja antypolska na Lubelszczyźnie w 1939 r.
Stanisław Jadczak
str. 3, 8, 9, 10

Fotografia lat siedemdziesiątych
Jerzy Busza
str. 5

Wieniawa we Lwowie
Wojciech Białasiewicz
str. 4

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 13 IX 1981 NR 19 (739) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY PL ISSN 0137-7108 CENA 7 ZŁ

PO BATALII O STATUT

Lech Winiarski

NIE znoszę przesady, ale tu nie mam potrzeby korygowania pojęcia użytego w tytule: rzeczywiście odbyła się w partii wielka **batalia** o statut na miarę ambicji awangardy Polaków u progu XXI stulecia, a także na miarę tragicznych doświadczeń z przeszłości. IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR był pod tym względem prawdziwym demokratycznym przełomem, który nie ziścił się ani w październiku 1956, ani w grudniu 1970. Podkreślam to z głębokim przekonaniem, wbrew powierzchownym opiniom i złośliwym insynuacjom przeciwników politycznych na temat niezmienności i niereformowalności naszego systemu ustrojowego.

Zacznę od kwestii **rotacji** władz partyjnych. Od lat temat ten był podnoszony, szczególnie po Październiku i Grudniu, kiedy szukano gwarancji przeciw recydywie wypaczeń w funkcjonowaniu partii i ustroju. Zawsze postulaty ograniczenia kadencji sprawowania kierowniczych funkcji w partii odparowywano argumentami: ależ taka praktyka nie ma precedensu w partii marksistowsko-leninowskiej! Jakże można ustalić zasadę, że I sekretarz KC ma zejść ze stanowiska tylko na zasadzie „dyktatu kalendarza?". Przecież w ten sposób partia pozbywać się będzie swych najcenniejszych kadr!

W ten sposób udało się, mimo oddolnego parcia do tego typu reformy, poddać sprytnej manipulacji delegatów na VI Zjazd w roku 1971. Pod wpływem pierwszych miesięcy euforii wokół osoby Edwarda Gierka, naiwnej wiary w „męża opatrznościowego" narodu, storpedowano wówczas umieszczenie w statucie zasady rotacji. Teraz już taka manipulacja była niemożliwa.

Obecny statut PZPR mówi więc, że wszystkie władze z wyboru (oprócz najniższego stopnia, tj. POP) sprawować można najwyżej dwie kadencje. Zapobiegać to będzie skutecznie wyrastaniu jednostek ponad kolektywy kierownicze, nie pozwoli na odradzanie się tak niebezpiecznego kultu przywódcy — jako nieomylnego wodza, nie podlegającego żadnej kontroli ani krytyce. Stworzy to zarazem szansę zwiększenia poczucia **odpowiedzialności** działaczy partyjnych wobec własnych rzesz wyborców. Uchroni ich samych, a przede wszystkim partię, od błędów i autokratyzmu ośrodka kierowniczego. Statut dopuszcza co prawda możność kandydowania do władz po dwóch kadencjach, ale decyzję w tej sprawie musi podjąć zjazd partii czy konferencja partyjna większością 2/3 głosów i to w głosowaniu **tajnym**. Uważam, że jest to sito tak gęste, że nie przepuści ono żadnego polityka, który straci zaufanie partii i społeczeństwa.

Ogromnym zwycięstwem sił reprezentujących punkt widzenia bazy partyjnej w batalii o nowy statut PZPR jest wprowadzenie powszechnej za-

Dokończenie na str. 8—9

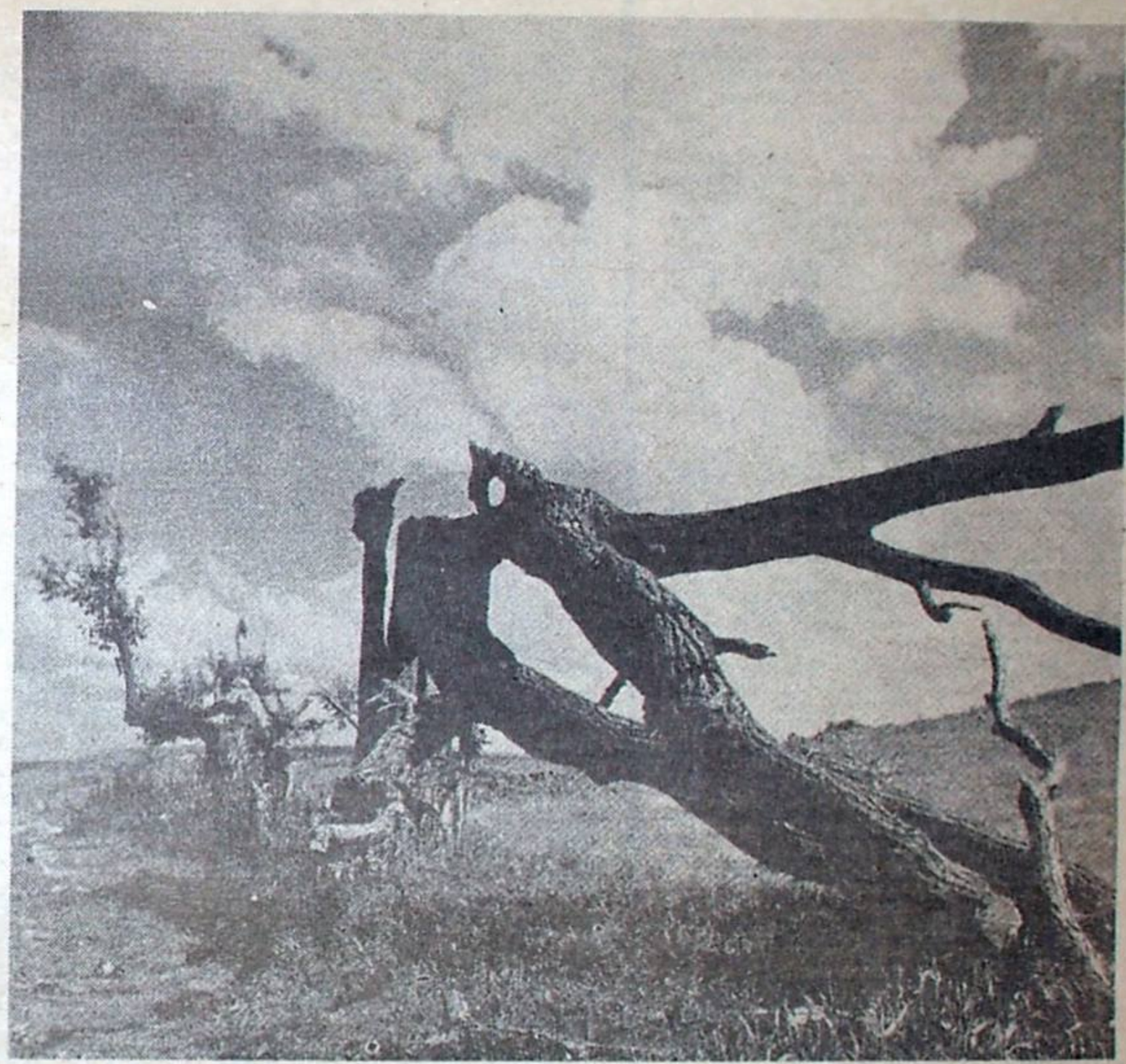

Fot. Waldemar Stępień

Z braku cech przestępstwa...

Henryk Pająk

W POPRZEDNIM odcinku publikacji („Kamena" nr 18) dotyczącej ochrony środowiska starałem się m. in. wykazać, że tak jest stan przyrody a konkretnie jej ochrony, jaki jest ogólny stan gospodarki; że w sytuacji wieloletniej ignorancji w zakresie przestrzegania elementarnych praw ekonomicznych, preferowania niepohamowanego rozwoju inwestycji drogą zagranicznych kredytów a kosztem warunków życia społeczeństwa — dochodzi się nieuchronnie do drastycznych zaniedbań wobec środowiskowych warunków bytowania człowieka.

Kontynuując ten wątek, przyjrzyjmy się prawno-administracyjnej strukturze funkcjonowania bogatego, bądź co bądź, ustawodawstwa w tym zakresie. Cofnąć się tutaj trzeba do 1974 roku, do decyzji o administracyjnym rozbiorze metodą likwidacji powiatów oraz województw i powstania w rezultacie tego zabiegu nie tu powiatów, ani to województw. Otóż do tego momentu wszystkie lub prawie wszystkie sprawy wchodzące w skład problematyki ochrony środowiska leżały w gestii ówczesnych wydziałów gospodarki wodnej wojewódzkich urzędów. Po rozbiciu „starych" województw, chyba tylko dla rozmycia odpowiedzialności na kilka ogniw administracyjnych, sprawy ochrony

Dokończenie na str. 10

NA EKSPANS

JAK DZIELIĆ WÓDKĘ I NIE MIEĆ KACA?

A WIĘC od sierpnia mamy kartki i na wódkę. Zwolennicy tej formy dystrybucji upominali się o nie od dawna. Przeciwnicy wysuwali dwa kontrargumenty: pierwszy, że kartki to zachęta do picia, i drugi, że rozdzielnictwo alkoholu niszczy rynek i umożliwia spekulację. Dziwne, ale w żadnej dziedzinie nie ujawniło się tylu obrońców prawa popytu i podaży. Chleb, samochody i ogórki kiszone muszą mieć ceny sztywne, a ceną alkoholu niech rządzi prawo wartości (widać z tego, że edukacja „łże-ekonomii" doprowadziła do poważnych spustoszeń, robiąc nam w ó d ę z mózgu).

Rzecz ma się — moim zdaniem — zupełnie odwrotnie. Ogórki, skarpetki czy meble to dobra, które ludzie powinni kupować. Kupując, kształtują cenę, która orientuje producentów o rozmiarach społecznego zapotrzebowania. I samodzielnie przedsiębiorstwa, zwiększając produkcję towarów droższych, będą to zapotrzebowanie zaspokajać.

Natomiast alkohol jest złem koniecznym. Jest to dobro luksusowe (jedyne!), które dotarło pod strzechy. Istnieje najwyższa narodowa racja, aby spożycie spirytualiów zredukować. Po prostu nie stać nas na to, aby utrzymywać konsumpcję na poziomie 10 l czystego alkoholu na osobę rocznie. Jest to poziom dwa i pół raza wyższy od tego, który zakładał gubernator Frank, jako środek niszczenia naszego społeczeństwa. Wysoka cena alkoholu (a obecnie cenę równowagi szacować można na 500—600 zł za 0,5 l) nie musi doprowadzić do obniżenia spożycia. Może ona spowodować wyprzedawanie majątku konsumpcyjnego albo ograniczenie spożycia dóbr podstawowych dla zdobycia pieniędzy na wódkę.

Kartki chronią przed tym niebezpieczeństwem. Jeżeli dorosły mieszkaniec PRL otrzymuje miesięczny przydział w wysokości butelki wódki i dodatkowo butelkę na święta jest to w skali rocznej 6,5 litra wódki. Gdyby takie rozmiary pijaństwa utrzymać przez kilka lat, to uciekliby śmy z alkoholowej pułapki.

Jestem realistą i wiem, że kartki nie rozwiązują wszystkich problemów. Nie boję się spekulacji indywidualnej, bo przy ograniczeniu sprzedaży meliny nie będą miały czym handlować. Obawiam się spekulacji zinstytucjonalizowanej i bimbrownictwa.

Istnieje niebezpieczeństwo, że funkcję sklepów z wódką przejmą knajpy, a cała operacja z kartkami będzie tylko ukrytą podwyżką cen. Wprawdzie mówi się, że tzw. zakłady gastronomiczne podawać będą wódkę w porcjach 58 gramowych pod treściwą zakąskę, ale traktuję to jako setny żart. Przepis taki obowiązuje od lat i praktycznie nigdy nie był przestrzegany. (Co najwyżej w okresie nasilenia kontroli pojawiła się „zakąska przechodnia"; było to coś taniego, niekoniecznie jadalnego, bo każdy tylko płacił, a zagrycha wracała na ladę.) Gdyby dzisiaj chcieć ten przepis egzekwować, to należałoby przy każdym kelnerze postawić milicjanta, a przy milicjancie wojskowego. Jedyne wyjście widzę w rozszerzeniu kartek na gastronomię. Przydział trzeba by zwiększyć (podwoić?) i kartki wydrukować w odcinkach „kieliszkowych". Kartkę można by realizować w sklepie, w „Unii" czy gospodzie GS.

Drugim wrogiem publicznym stanie się bimbrownictwo. Ograniczenie podaży może wyzwolić u ludzi ukryte talenty chemiczne. Za produkcję bimbru trzeba karcić (i to srogo). Nie widziałem jeszcze jednak, aby jakiekolwiek negatywne zjawisko było zwalczone jedynie za pomocą sankcji. Żeby ryzyko bimbrownictwa stało się nieopłacalne, potrzebne są: tanie, dobre, dostępne, niskoprocentowe napoje alkoholowe. Są to: wytrawne wina (którego powinno się sprzedawać dwie butelki zamiast pół litra wódki) i piwo (sprzedawane bez ograniczeń). Mówiąc „piwo", nie mam na myśli bieżącej produkcji browarów. Piwo to napój, który ma zapach, kolor, smak i którego można wypić 2—3 butelki. Po ich wypiciu średnio duży człowiek robi się tak pełny, że może pęknąć.

Takie piwo robią wszędzie, tylko nie w Polsce. Chociaż produkowano je kiedyś i u nas, nawet w Lublinie. W końcu XIX w. Vetter i bracia Frick warzyli najlepsze piwo w Królestwie. Piwowarstwo było biznesem opłacalnym, czego dowodem to, że Vetter zbudował szkołę i szpital, a Frick teatr (w dwa lata, a dziś po dziesięciu nie widać końca — niech żyje postęp!). Nie sądzę, żeby dzisiaj do piwa ktoś dokładał.

Na piwo recepta jest dosyć prosta i można je robić bez licencji oraz dewiz. Żeby było dobre, musi być go jednak dużo. Przy niewystarczającej podaży sprzedać można nawet „Perłę". A zatem trzeba w browary trochę zainwestować. Mniej niż w hutę „Katowice", za to z większym zyskiem. Również zyskiem społecznym, jakim jest mniejszy popyt na wódkę i mniejsza opłacalność bimbrownictwa.

Czytelnik z dobrą pamięcią zarzuci mi, że to, co napisałem o możliwości ograniczenia wódochlejstwa poprzez wzrost produkcji i jakości piwa, zawarte było w programie walki z alkoholizmem z lat pięćdziesiątych. To prawda, był to bardzo dobry program. Miał tylko jedną wadę — nikt go nigdy nie próbował realizować.

emzet

Kamena str. 2

z notatnika

1 IX. Czterdziesta druga rocznica wybuchu drugiej wojny światowej, która trwała 2194 długich dni i nocy i która ogarnęła blisko dwa miliardy ludzi. W czasie tej wojny świat wkroczył w erę atomową: Hiroszima i Nagasaki — ponure memento... A przecież bomby, które padły na te miasta, to dzieciństwo ery atomowej! Fakt, że od 1945 roku mieliśmy tylko wojny lokalne. Fakt, że po Nagasaki nie użyto już broni atomowej. Ale faktem jest również, że w tych lokalnych wojnach, w których było uwikłanych ponad 70 państw, zginęło więcej ludzi niż padło żołnierzy na frontach drugiej wojny światowej.

Decyzja o podjęciu przez USA produkcji broni neutronowej zagęszcza atmosferę międzynarodową. Na co dzień, zajęci naszymi dokuczliwymi problemami, nie myślimy o realiach współczesnego świata. Ale kiedy człowiek poczyta sobie to i owo, widzi, że żyje na kraterze wulkanu. Zwykły przypadek może otworzyć puszkę Pandory i wówczas cokolwiek przestanie być ważne. Na domiar złego ta puszka Pandory stale pęcznieje! Już przed sześcioma laty Leonid Breżniew ostrzegł, że istnieją techniczne możliwości stworzenia i użycia broni straszniejszej niż jądrowa i zaapelował o międzynarodowy zakaz ich stosowania. Nie mieści się to w głowie, ale ponoć można sztucznie zniszczyć warstwę ozonu w stratosferze nad terytorium przeciwnika i narazić go na niszczące promieniowanie kosmiczne. Czyżby ludzkość zmierzała do samozagłady? Czy pozostała nam j e d y n i e wiara, że w końcu rozsądek zatriumfuje? Patrzę coraz bardziej czarno, ale i to, co się dzieje w Polsce, oceniam w innym wymiarze...

2 IX. Znów piłkarzom nie udało się wygrać meczu z drużyną RFN. Wynik 0:2 należy uważać za szczęśliwy. Nie zdziwiłbym się, gdyby było 0:5! Mimo wszystko nie patrzę jednak ze skrajnym pesymizmem na oczekujące zmagania z NRD, w których to zapewne wezmą też udział niektórzy spośród naszych „emigrantów". Przeszłość nauczyła nas, że w decydujących meczach, których stawką jest nie tylko (bądźmy szczerzy!) honor, Polacy dokonują cudów. Nie mniej w Lipsku będzie naprawdę gorąco, a na doping polskiej widowni liczyć już nie należy, bo i g r a n i c a nie ta, co przed ubiegłoroczną jesienią...

4 IX. Na łamach „Nadodrza" pisze B. K. Basiewicz:

„Dwie ustawy mają stanowić o sposobach administracji gospodarczej: o przedsiębiorstwie państwowym i o samorządzie załogi... Jak zwykle my, Polacy, drzemy szaty w sprawach szczegółowych, tracąc z oczu cel strategiczny. „Solidarność" zaproponowała, aby — zamiast dwóch — uchwalić jedną ustawę; obejmowałaby ona zarówno statut przedsiębiorstwa państwowego, jak i sposób kierowania nim... Tymczasem spór wydaje się jałowy. Nie ma przecież większego znaczenia sama forma aktu... lecz jego treść. Istota zaś polega na tym: czyje ma być przedsiębiorstwo, jak daleko może sięgać jego autonomia w stosunkach społecznych, kim ma być dyrektor przedsiębiorstwa, kto go będzie proponować, kto akceptować, kto odwoływać? Czy dyrektor musi być przygotowany na to, że rankiem pojawią się u niego w pokoju trzej dżentelmeni reprezentujący samorząd i zakomunikują, że od tej chwili nie jest już dyrektorem?... Potrzebna nam jest wyobraźnia. Co się stanie, jeżeli przedsiębiorstwo będzie miało puste konto w banku i nie będzie mogło dokonać wypłaty? Kto ma rozstrzygnąć spory na przykład w sprawach inwestycji, jeżeli samorząd pod naciskiem załogi przeznaczy uzyskane nadwyżki na płace i premie, zamiast na rozwój przedsiębiorstwa? Jak się będzie mieć autonomia do strategicznych celów gospodarki kraju?... Jeden z zaprzyjaźnionych posłów powiedział mi po prostu: — Chce pani znać moją prywatną opinię na cały ten temat?... Otóż multinarodowe koncerny daleko odeszły od pojęcia przedsiębiorstwa prywatnego. Nie rzadko robotnik nie ma pojęcia o strukturze własności przedsiębiorstwa, w którym pracuje. Maksymalny zysk jest podstawowym celem działania każdego przedsiębiorstwa i całego koncernu. Ale tam został stworzony system menadżerski, niezwykle sprawny, przewidujący i efektywny system, w którym planowanie obejmuje okresy 20-letnie. Ci, którzy zafascynowani byli zyskami maksymalnymi w skali rocznej, zostali rychło połknięci przez innych... Bardzo się boję, czy my na tym tle nie stworzymy kramikarskiego systemu, w którym samorząd będzie walczył o jak największą „trzynastkę", nie bacząc na konieczność załatania dachu nad sterowaną numerycznie obrabiarką, bo na razie obrabiarka się kręci i nie pada deszcz, a na pokrycie dachu potrzebne są pieniądze, na które czekają ludzie...".

III Plenum KC PZPR było poświęcone zadaniom partii w kształtowaniu pozycji samorządu załóg socjalistycznych przedsiębiorstw. Z referatu KC, wygłoszonego przez Jana Główczyka, odnotowuję:

„W sprawie koncepcji samorządu ujawniły się w dyskusji dwa nurty — odzwierciedlające dwa skrajne podejścia do problemu. Jeden z nich to nurt technokratyczny, drugi — anarchiczny.

Pierwszy nurt neguje w ogóle potrzebę lub użyteczność samorządu pracowniczego. Wychodzi z założenia, że w warunkach współczesnej techniki i organizacji produkcji przedsiębiorstwem zarządzać mogą wyłącznie fachowcy. W mniej skrajnej postaci zmierza on do eliminacji z organów samorządu robotników. Koncepcję tę odrzucamy jako głęboko błędną i sprzeczną z rolą socjalistycznego samorządu, z rolą klasy robotniczej w naszym społeczeństwie.

Drugą skrajność reprezentuje nurt anarchiczny, który domaga się przyznania samorządowi absolutnej autonomii. Traktuje w istocie rzeczy proces uspołecznienia własności i zarządzania jako przekazanie w ręce wyodrębnionej grupy społecznej części majątku ogólnonarodowego w nieograniczone władanie. Nurt ten akcentuje nawiązywanie łączności między interesem grupowym i ogólnym wyłącznie za pośrednictwem rynku i niczym nie ograniczonej gry wolnej konkurencji. W związku z tym neguje on rolę państwa i planowania centralnego. Sprowadzanie założeń reformy wyłącznie do idei samorządu jest dużym nieporozumieniem.

Od strony politycznej koncepcje anarchiczne były w przeszłości i są wykorzystywane obecnie jako narzędzie stopniowej walki o władzę gospodarczą, wreszcie polityczną w państwie. Charakterystyczną cechą tego nurtu jest programowe odżegnywanie się od działalności politycznej, którą faktycznie uprawia.

Partia walczyć będzie o rzeczywisty samorząd załogi, a nie „samorząd" w cudzysłowie, który dla antysocjalistycznych grup służy jako przystanek w walce o pełnię władzy. Samorząd powinien być suwerenną organizacją załogi, a nie komórką organizacji związkowych, czy też politycznych grup nacisku".

5 IX. Lech Wałęsa udzielił wywiadu Renacie Mroczkowskiej z „Głosu Wybrzeża". Wywiad ten przedrukowła „Gazeta Krakowska" i „Głos Szczeciński" (z 31 sierpnia). Warto poznać niektóre myśli przywódcy „Solidarności", bo odzwierciedlają one faktyczną sytuację w związku.

„RM: — Podobno zamierza pan w ciągu trzech miesięcy zmienić zarząd regionu...

LW: — Jeżeli będzie się kłócił, nie realizował tego, co chcę, to będziemy musieli go zmienić. Jak się nie rozliczy z tego, co ma zrobić, wtedy sprawa jest jasna. My mamy robić, a nie pyskować.

RM: — O co pan się kłóci z Gwiazdami?

LW: — Główny powód kontrowersji to jest od początku ten sam... Dużo rzeczy bez Gwiazdy nie osiągnąłbym. To jest bardzo mądry człowiek, ma nieprzeciętne zdolności. Ale jak długo można do kogoś wyciągać rękę do zgody, gdy ta ręka natrafia na próżnię?

RM: — Wracając do kontrowersji...

LW: — Chodzi o to, żeby nikt tego związku nie wykorzystywał do innych celów. Wiele zawdzięczam KOR i ja to doceniam, ale nie pozwolę, żeby mieszali mi tutaj.

...RM: — Nie wydaje mi się, aby należał pan do ludzi tolerancyjnych. Nie lubi pan, gdy ktoś ma inne poglądy od tych, które pan wyznaje...

LW: — A co ja jeszcze mogłem zrobić? Tak długo przepraszałem, prosiłem. Ale ci ludzie idą na całego, ja już nie mam siły. Po co ja mam odkręcać na stadionach, zakładach, po co moja siła ma być trwoniona, kiedy ja w tym czasie mogę zająć się robotą, pracować, realizować to co sobie założyłem, a nie uważać jak mnie podjeżdżają, co oni mi szykują.

RM: Odcina pan się od KOR?

LW: — Nigdy nie dam tych ludzi zniszczyć. Będę o nich walczył, bo dużo im zawdzięczam.

RM: — Pan tak mówi, jakby wzajemne układy pomiędzy KOR a „Solidarnością" były indywidualną sprawą pana i, powiedzmy, Kuronia... a nie dotyczyły całego związku.

LW: — Dlatego nie chcę się kłócić, chcę się wziąć za robotę, proponowałem zgodę, wyciągałem rękę, ale nie została przyjęta. Na rozbijactwo jednak nie pozwolę, jak tak dalej pójdzie, to poproszę innych ludzi do współpracy.

RM: — Proszę pana, spotkałam się z opinią, iż istnieje obawa, że chce się pan pozbyć wszystkich, którzy przygotowują związek na inną pogodę.

LW: — Prawda jest taka, że jak będą czołgi, to jak pójdę pierwszy, oni będą uciekać, a ja nie. Co oni kombinują? Władzę przejąć. Ich władza byłaby gorsza niż ta, która jest. A te ich partie polityczne, które kombinują tu i tam, to po co? Robotnik nadaje się do każdej roboty, a oni — tylko na rozmowy z rządem. Wiem jedno: świat pracy chce chleba, chce żyć, jak najwięcej pracować, a nie głowy na czołgi nadstawiać.

...RM: — Gdy pan mówi — już kilka razy to słyszałam — że pan z wszystkimi może się dogadać, to różne myśli mi wtedy do głowy przychodzą...

LW: — Mógłbym się dogadać, ale nie mam czasu. 70 procent energii straciłem na kłótnie z panią Walentynowicz, z Gwiazdami — dlatego ich nie chcę. Potrzebuję do roboty ludzi, a nie do kłócenia się.

...RM: — Co to znaczy „Solidarność"?

LW: — Razem. Rozumiemy się, walczymy o wspólne. Albo ja raz dla ciebie, a drugi raz ty dla mnie...

RM: — To by znaczyło, że „Solidarności" właściwie nie ma...

LW: — No, może niezupełnie. Chociaż to dziwna sprawa, ona była w walce, w niebezpieczeństwie ogromna. Teraz trochę te stołeczki, układanki, interesiki przeszkadzają i ona zaczyna się gdzieś gubić.

...RM: — O tym, iż nie dąży pan do władzy, powtarza przy każdej okazji. Nie mniej w jakimś wywiadzie nie wykluczał pan takiej ewentualności.

LW: — Ach, znów Falacci. Proszę pani, polskie problemy po włosku brzmią jednak zupełnie inaczej, ona mnie trochę zrobiła w konia...

...RM: — Nie dąży więc pan do władzy...

LW: — Proszę pani to jest fantastyczne, najbardziej nieprawdopodobna myśl.

RM: — Życie uczy nas, iż to, co jest zupełnie nieprawdopodobne, niekiedy szybciej się realizuje, aniżeli to prawdopodobne.

LW: — Oczywiście, że niczego nie można wykluczać. Ale nie widzę siebie ani prezydentem, ani premierem. Uważam, że jest to niemożliwe. Chyba że za przyzwoleniem boskim zostanę kimś takim...".

No cóż — komentować nie będę, wydaje mi się jednak, że te fragmenty wywiadu uzupełniają wypowiedzi Wałęsy w czasie konferencji prasowej, której przebieg mogliśmy oglądać w telewizji. Nie trzeba było być wytrawnym obserwatorem, aby zauważyć, że poglądy Wałęsy nie są w pełni popierane przez współtowarzyszy z prezydium, którzy go tu i ówdzie usiłowali jakby poprawiać, (Lis namiętnie palił „Marlboro" — zazdrość brała, ale to tak na marginesie...). W świetle przytoczonego wywiadu dziwić się temu nie należy.

Dziś po południu w TV mogliśmy oglądać w kolorze przygotowania do Zjazdu, pokazane przez jedną z telewizji zachodnich. Mam nadzieję, że nie płaciliśmy za to w dewizach? A swoją drogą smutne, że tym razem nie dogadano się, jak Polak z Polakiem... Później były już obrazy czarno-białe, jak wyjaśniono, z gdańskiego ośrodka TV. Coś tam jednak do nas dotarło...

M. A. Jaworski

Dywersja antypolska na Lubelszczyźnie w 1939 r.

Stanisław Jadczak

DZIAŁANIA antypolskiej dywersji na Lubelszczyźnie to jeden z nieznanych epizodów września 1939. Miały one charakter specyficzny w porównaniu z innymi regionami kraju, gdzie przeciwko wojsku i ludności cywilnej występowali jedynie dywersanci niemieccy. W województwie lubelskim mieliśmy do czynienia także z dywersantami rekrutującymi się ze środowiska nacjonalistów ukraińskich, kolaborujących z hitlerowcami.

Przed II wojną światową województwo lubelskie zamieszkiwało około 16 tys. osób narodowości niemieckiej, które w 1931 r. podczas Powszechnego Spisu Ludności podały język niemiecki jako ojczysty. Grupa ta stanowiła 0,6 proc. mieszkańców Lubelszczyzny. W 98 proc. byli to rolnicy, potomkowie dawnych kolonistów niemieckich. Poważne skupiska tej ludności znajdowały się w powiatach: chełmskim, garwolińskim, hrubieszowskim, lubartowskim, lubelskim, siedleckim, włodawskim. Niektóre wsie były całkowicie niemieckie, np. Zdanne i Wierzchowiny w powiecie krasnostawskim, Michalin nazywany Michelsdorf, Skorodnica, Hola, Zamolodycze, Kamień, Hańsk, Ujazdów, Szczęśniki we włodawskim i inne. Dojście Hitlera do władzy i jego nacjonalistyczne hasła obudziły w kolonistach niemiecką krew. Stało się to głównie za przyczyną niemieckich partii działających w II Rzeczypospolitej, otrzymujących z III Rzeszy zastrzyki finansowe i materiały propagandowe. (Przywozili je na Lubelszczyznę emisariusze z Pomorza i Poznańskiego, inspirujący tu działalność antypolską).

Jedną z nich była Partia Młodoniemiecka (Jungdeutsche Partei fuer Polen-JDP), powstała w Bielsku w 1921 r. Do 1931 r. liczyła ona 300 członków. Po dojściu Hitlera do władzy partia przybiera charakter narodowosocjalistyczny, zaczyna działać wszędzie tam, gdzie są skupiska mniejszości niemieckiej w Polsce, stając się z czasem trzonem V kolumny w Polsce. We wsiach kolonistów powstają Ortsgruppen JDP — koła partyjne; legalnie prowadząc działalność kulturalną i oświatową, nielegalnie przygotowują swoich członków do zbrojnego wystąpienia przeciwko Polsce, zajmują się sabotażem i dywersją, zbierają materiały dla wywiadu III Rzeszy, ustalają nazwiska działaczy polskich na listy proskrypcyjne, podsycają w swoich współziomków nienawiść do Polski.

Nieznane są dane dotyczące liczebności JDP na Lubelszczyźnie. Faktem jest, że istniały tu koła tej partii, że młodzież niemiecka z woj. lubelskiego wyjeżdżała do schronisk Beskidensportverein i Wintersportverein, by tam, pod pozorem zajęć sportowych, uczestniczyć w ćwiczeniach wojskowych hitlerowskich bojówkarzy. Szczególnie chętnie odwiedzano Szczyrk — przed wojną punkt kontaktowy wszystkich hitlerowców z Polski. Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny działacze JDP zaczęli organizować wojskowe bojówki zwane Freikorpsami.

Bardziej niebezpieczna była DVV (Deutscher Volksverband — Niemiecki Związek Ludowy), czołowa partia narodowo-niemiecka w Polsce. Zaczęła ona uzyskiwać znaczne wpływy w środowiskach ludności niemieckiej w Polsce w latach 1936—37, a spore sukcesy odniosła w latach 1938—39. Działalności organizacyjnej DVV towarzyszyło szkolenie ideologiczne, tzw. szkolnictwo wędrowne, akcje charytatywne, zbieranie podpisów na podaniach do władz szkolnych z żądaniem utworzenia na Lubelszczyźnie szkół z językiem wykładowym niemieckim. Rozwijano też nielegalną emigrację do Niemiec, a głównie — akcję przemytu młodych volksdeutschów na przeszkolenie wojskowe do Rzeszy.

DVV rozrastała się na Lubelszczyźnie szybko. Np. w pow. chełmskim zorganizowano 23 oddziały tej partii, we włodawskim — 4, w hrubieszowskim — 1. W sumie w województwie powstało 38 oddziałów DVV, które zrzeszały około 3 tys. osób.

Sianie nastrojów antypolskich, uświadamianie Niemcom zamieszkującym Polskę ich narodowości, prowadzenie propagandy antyrządowej wśród Polaków — wszystko to wzburzało polską opinię publiczną. Wzrastające napięcie w stosunkach polsko-niemieckich oraz presja naszej opinii publicznej sprawiły, iż od marca 1939 r. władze porzuciły dotychczasowy liberalny kurs wobec mniejszości niemieckiej. W kwietniu 1939 r. Urząd Wojewódzki w Lublinie wystąpił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o likwidację kół DVV na terenie Lubelszczyzny, motywując wniosek licznymi przykładami ich antypolskiej działalności. Szczególnie podkreślano niebezpieczeństwo agitacji DVV wśród ludności ruskiej i ukraińskiej, m.in. kolportującej wiadomości o planach III Rzeszy utworzenia niepodległej Ukrainy, oraz inspirowania Ukraińców do tworzenia tzw. oddziałów samoobrony przed Polakami. Ministerstwo jednak nie podjęło decyzji i władze wojewódzkie musiały same stosować możliwe restrykcje, ograniczające groźną działalność DVV.

Niemieccy prowokatorzy trafiali więc przed sądy, co przed marcem 1939 r. było nie do pomyślenia. 2 kwietnia 1939 r. „Express Lubelski i Wołyński" donosił o incydencie na targu w Chełmie: niemiecki kolonista mówił tu obraźliwie o Rydzu-Śmigłym i o sytuacji w Polsce, za co wylądował w więzieniu. Wyrokiem sądu w Lublinie skazany został za tzw. Flüsterpropaganda (prowadzenie defetystycznej agitacji) Edward Patersen, Niemiec łódzki. Ogółem za antypaństwową propagandę pociągnięto do odpowiedzialności tylko w II kwartale 1939 r. ponad 60 osób narodowości niemieckiej.

W tym czasie obywatele polscy narodowości niemieckiej wykonują określone zadania na rzecz hitlerowskiej machiny wojennej. Wiosną i latem 1939 r. — stwierdza zajmujący się problematyką mniejszości niemieckiej w Polsce Mirosław Cygański — samorzutnie zanika aktywność niemieckich partii w Rzeczypospolitej. W rzeczywistości zaś następowało przechodzenie od legalnych do konspiracyjnych form działania, pozostające w ścisłym związku z intensywną rozbudową sieci komórek dywersyjno-szpiegowskich. Niemieckie organizacje masowe otrzymały zadania w ramach V kolumny. Sprowadzały się one do prowadzenia odpowiedniej propagandy wśród ludności niemieckiej w Polsce i także Flüsterpropaganda wśród ludności rodzimej, za pomocą rozpowszechniania różnorodnych i fałszywych wiadomości w celu rozbudzenia krytycznych nastrojów wobec polityki naszego państwa. Najbardziej jednak zasadniczym odcinkiem działalności V kolumny w 1939 r. było szpiegostwo. W roku tym ujawniono około 600 przypadków szpiegostwa w Polsce na rzecz Niemców, prowadzonego przeważnie przez obywateli polskich narodowości niemieckiej. W ostatnich tygodniach sierpnia notowano w kraju próby czynnych wystąpień, o charakterze terrorystycznym, volksdeutchów, obserwowano coraz bardziej butną postawę ludności niemieckiej. Część młodzieży niemieckiej zaczęła nosić, na wzór „heinleinowców", białe pończochy.

Zmasowaną akcję przeciwko niemieckiemu podziemiu władze polskie zamierzały przeprowadzić dopiero w sytuacji, gdy wybuch wojny będzie oczywisty. Akcję tę ujęto organizacyjnie w tzw. „elaborat unieruchomienia", przewidziany w rozporządzeniu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 23 maja 1939 r. Dokument zakładał internowanie wszystkich tych Niemców, których podejrzewano lub udowodniono im jakąkolwiek działalność szpiegowską czy dywersyjną.

Na kilka dni przed wybuchem wojny agenci V kolumny przystąpili do otwartej akcji antypolskiej. Byli to członkowie utworzonej wiosną 1939 r. specjalnej organizacji dywersyjnej w Polsce ANGRIFFS-ABTEILUNG, powołanej do życia za sprawą Volksdeutsche Mittelstelle — ośrodka szpiegowskiego działającego od 1937 r. którego zadaniem była „opieka" nad mniejszością niemiecką w krajach Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej oraz wykorzystywania jej dla celów III Rzeszy. Kadrą A-A stała się młodzież z DVV. Na Lubelszczyźnie jej działalność polegała w ostatnich dniach sierpnia na szerzeniu wrogich plotek i dokonywaniu aktów sabotażu. Między innymi wokół Siedlec dywersanci przecięli kilkadziesiąt metrów przewodów telefonicznych i poprzewracali słupy telefoniczne, a w samych Siedlcach podłożyli bombę zegarową w punkcie obserwacyjno-meldunkowym.

Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych aktywność V kolumny uległa znacznemu nasileniu; jej bazami były niemieckie osiedla rozsiane po Lubelszczyźnie. Wyruszający stąd dywersanci wzniecali pożary, powodowali bezładną strzelaninę, dokonywali aktów sabotażu — wszystko po to, by wywołać zamieszanie na tyłach. Pomagali im spadochroniarze zrzucani przez samoloty Luftwaffe w pobliżu osiedli niemieckich, węzłów kolejowych, dużych zakładów przemysłowych itp. Na głębokich tyłach pracowały niemieckie stacje radiowe, dywersanci podłączali się do sieci telefonicznych wydając fałszywe polecenia. Niemcy przebrani w mundury polskie, często oficerskie, fałszywymi rozkazami dezorganizowali akcję naszych wojsk. Działali najchętniej na skrzyżowaniach dróg i w godzinach nocnych. Wszyscy biegle mówili po polsku.

Mieszkańcy Lubelszczyzny zetknęli się z dywersantami niemal od pierwszych chwil wojny. Już 2 września — jak donosił meldunek Dowódcy Okręgu Korpusu IX — wieś Lebiedziew wzięła gremialny udział w poszukiwaniu spadochroniarzy niemieckich, którzy mieli wylądować w pobliżu tej miejscowości. Mnożyły się meldunki o niszczeniu sieci telefonicznej. Mająca przeciwdziałać dywersji policja zagubiła się w swojej roli i w tej sytuacji sprawy bezpieczeństwa publicznego wzięło na siebie w dużej mierze społeczeństwo. 2 września premier powołał straże miejskie, gminne i gromadzkie dla współdziałania z policją. W miastach pogotowie przeciwko dywersantom opierało się na jednostkach Przysposobienia Wojskowego. Młodzież z PW pełniła służbę głównie w nocy. Jan Parandowski we „Wrześniowej nocy" wspomina spotkanie na skraju lasu przed Suchowolą koło Radzynia. Pod drzewem stała tam dziewczyna oparta na siekierze o długim stylisku — wypatrywała szpiegów. W Olbięcinie Stanisław Cieślak i Stefan Marczak, pełniący pomocniczą służbę policyjną, w tłumie uchodźców złapali dwóch szpiegów zbiegłych z Gościeradowa, mających przy sobie broń, amunicję, plany i dokładne mapy komunikacyjne. W miastach i wsiach województwa samorzutnie tworzyły się straże obywatelskie, których celem była m.in. ochrona przed dywersantami.

A meldunków o działalności V kolumny było z każdym dniem wojny coraz więcej. W Białej Podlaskiej przy szosie Brześć-Warszawa stanął na odpoczynek rezerwowy 35 pp. Do żołnierzy podbiegł chłopiec, który pasł krowy na pobliskich łąkach i zobaczył lądujący tam samolot. Dzieciak zaobserwował, że z samolotu wysiadły dwie kobiety i poszły z pakunkami w stronę wsi, a samolot odleciał. Wkrótce jedna z tych kobiet przyszła na kwaterę do żołnierzy. Została tu rozpoznana, chciano ją zatrzymać, ale kopnęła w brzuch polskiego żołnierza i błyskawicznie, z pistoletem w ręku, wyskoczyła na podwórze. Złapano ją jednak szybko i związano. W obławie schwytano także drugą kobietę: miała ona przy sobie radiostację. Niewiasty okazały się... mężczyznami. Obu dywersantów rozstrzelano.

W nocy z 3 na 4 września pluton ckm z 1 pułku strzelców konnych Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej stanął na postoju w lesie koło Kurowa. Wkrótce przy oddziale pojawiała się zakonnica, swoim zachowaniem wzbudzając nieufność żołnierzy. Rewizja ujawniła, że była ona szpiegiem — znaleziono przy niej mapę wojskową. Dowódca Brygady, płk St. Rowecki, w rozkazie wydanym w Kurowie 4 września 1939 r. o godz 15.55 polecał: „Obserwować desanty powietrzne" i „Uprzedzać żołnierzy o wojnie bakteriologicznej. Niemcy zrzucają zatrutą czekoladę, tytoń, tutki, papierosy, fajki itp.".

Uwagę wroga wzbudzała od początku wojny Główna Składnica Uzbrojenia nr 2 w Stawach koło Dęblina — arsenał II Rzeczypospolitej. W nocy z 4 na 5 września meldowano do Głównej Składnicy Dozorowania, iż w pobliżu Stawów zauważono desant spadochronowy. 7 września stojąca w Stawach 3 bateria I DAPL Sam. rozstrzelała trzech spadochroniarzy niemieckich, których tego dnia zrzucono z zadaniem dotarcia do arsenału. Obok wsi Kiszki w gminie Huta Krzeszowska, koło Biłgoraja — meldowało tego dnia DOK II — wylądował desant dwóch ludzi. W tymże meldunku DOK II informowało Ministerstwo Spraw Wojskowych o nastrojach ludności niemieckiej na terenie powiatu chełmskiego. Określono je jako wyjątkowo wrogie. Wśród Niemców w garnizonie chełmskim notowano liczne dezercje.

7 września około godz. 16.50 samoloty niemieckie rozrzucały w okolicach Kurowa ulotki z następującą treścią:

„Żołnierze: Sprawa polska jest przegrana! Tego nie zmieni ani Anglia, ani Francja. Niech Francja i Anglia atakuje linię Zygfryda! Nie przełamią jej! Niemcy odpłaciłyby im pięknym za nadobne! Gdyby Anglia i Francja naprawdę wystąpiły przeciwko Niemcom, to otrzymają odpowiedź, że im się prędko odechce. Ty w każdym razie jesteś stracony, a wraz z tobą twój kraj, jeżeli będziesz stawiał opór, dlatego: złóż broń".

Także 7 września w okolicach folwarku Dominów nieopodal Minkowic zrzucono trzech skoczków spadochronowych. Potężny desant 20 spadochroniarzy zaobserwowano w okolicach Gózówka — Popkowice koło Kraśnika. Zrzucano ich od godz. 18 dnia 8 września do 6 rano 9 września. Ten desant związany był najprawdopodobniej ze zbliżającym się ku Wiśle frontem. Niemcy badali bezpośrednie zaplecze walczących wojsk — niemal bezkarnie, bo gdy o zrzucie koło Popkowic powiadomiono władze bezpieczeństwa, to odpowiedziały, że będzie im trudno interweniować wobec potrzeby opanowania paniki w Kraśniku.

Władze lokalne usiłowały przeciwstawiać się dywersantom różnymi sposobami. Pisaliśmy wcześniej o strażach obywatelskich. Z chwilą ogłoszenia mobilizacji policja podjęła próbę wykonania zadań wynikających z „elaboratu unieruchomienia". Jednakże akcję wstrzymano 30 sierpnia na żądanie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ponowny rozkaz wykonania akcji unieruchomienia wrogich państwu polskiemu Niemców wydany został w nocy z 31 sierpnia na 1 września. Było już jednak za późno, wielu zaangażowanych w szpiegostwo Niemców zbiegło ze swoich miejsc zamieszkania, ukrywało się lub przystąpiło do wykonywania zadań na rzecz wojsk niemieckich. Nie znaczy to, że akcja nie przyniosła żadnych efektów. Pozytywnym przykładem był powiat chełmski. DOK II w meldunku do Departamentu Dowodzenia Ogólnego Ministerstwa Spraw Wojskowych z dnia 8 września stwierdził, że do tego dnia „unieruchomiono" w powiecie chełmskim około 900 osób, a dalsza akcja jest w toku.

W końcu pierwszego tygodnia wojny, kiedy okazało się, że dywersja wystąpiła w skali o wiele poważniejszej, niż można było przypuszczać, wydane zostały specjalne dyrektywy władz do społeczeństwa, będące jednocześnie instruktażem o walce ze szpiegostwem i sabotażem. Na Zamojszczyźnie kolportowano drukowane na powielaczu w Lublinie, w nieznanym nakładzie, ulotki noszące nazwę pogadanek. Ostrzegały one społeczeństwo przed niemieckimi desantami spadochronowymi, podawały informacje, do czego służą desanty spadochronowe i jak je zwalczać oraz wzywały ludność cywilną do walki z nimi. 3 września na murach Zamościa rozplakatowano ogłoszenie burmistrza miasta, M. Wazowskiego. Zarząd Miejski podawał w nim do publicznej wiadomości, że jedną z metod dywersyjnych stosowanych przez Niemców było zrzucanie z samolotów cukierków i innych przedmiotów, które zawierały bakterie chorobotwórcze. W związku z tym burmistrz wzywał wszystkich mieszkańców do pouczenia dzieci, aby zrzuca-

Ciąg dalszy na str. 8—9

Szwoleżer II Rzeczypospolitej (3)

Akademik z „Lwigrodu"

Wojciech Białasiewicz

TRUDNO obecnie ustalić, co zadecydowało o tym, że świeżo upieczony maturzysta nowosądeckiego gimnazjum podjął studia medyczne we Lwowie, kontynuując je zresztą ze znakomitymi rezultatami. Ale, o ironio, fakt ten, w sensie wyboru przyszłego zawodu, nie odegrał w życiu Bolesława Długoszowskiego prawie żadnej roli, natomiast brzemienne w skutki okazały się być akademickie lata w „Lwigrodzie", przepełnione aktywnym życiem kulturalnym oraz towarzyskim.

Lwów w początkach XX wieku przeżywał okres wyjątkowej prosperity. Będąc siedzibą Namiestnictwa oraz wszystkich nieomal centralnych władz Galicji, stał się równocześnie miastem parków, teatrów i kinoteatrów, licznych kawiarń, restauracji oraz lokali rozrywkowych ze sławnym hotelem Georga na czele. Bujnie rozwijało się życie towarzyskie z głośnymi na całą Galicję balami prasy i maskowym medyków. Właśnie w ówczesnym Lwowie narodziło się m.in. słynne powiedzenie literackiego cygana, Henryka Zbierzchowskiego, powtarzane do dziś, jednak bez znajomości autorstwa, że „wódka gubi narody — pojedyńczemu człowiekowi nie szkodzi, pita w miarę — nawet w największej ilości".

Liczna rzesza artystyczno-literacka Lwowa, wzorując się na XIX-wiecznej sztuce unoszonej skrzydłami romantyzmu, nadawała swoisty ton oraz niepowtarzalny koloryt miastu i nic dziwnego, że urokowi tego stylu nie oparł się ówczesny student medycyny, Wieniawa.

„Taki pan z bujną grzywą rozwichrzonych włosów — pisał o cyganerii tego okresu Stanisław Piasecki — w nieładzie okalających twarz bardzo bladą i bardzo upozowaną na wzniosłość. Do tego poetyczny fontaż u niekoniecznie czystego kołnierzyka, kurtka koniecznie aksamitna, spodnie koniecznie wymięte i od lat nieprasowane, fałdzista peleryna i cudaczny kapelusz o szerokich kresach. Wyniosłe spojrzenie na zwykłych śmiertelników, tych tam jakichś przyziemnych zjadaczy chleba, stały stolik w knajpce, pasowanej na Parnas, no i legendarny absynt, trunek piekielny, pijany co prawda bardziej w teorii, niż w praktyce, ale niemniej przeto ku wzbudzaniu dreszczu grozy wśród burżujów. Wszystko, aby się odciąć od nędznego świata ludzi zwykłych, szarych, codziennych, wszystko, aby zamanifestować najrozgłośniej swą odrębność — odrębność artysty".

Najtrafniej chyba, co potwierdzają również inne przekazy, scharakteryzował swoje studenckie lata sam Wieniawa, wspominając z perspektywy znacznego okresu czasu:

„Dopiero podczas studiów uniwersyteckich rozpoczął się dla mnie pozytywny okres lwowskiego życia, przyczem obok zakładów medycznych i klinik przy ul. Łyczakowskiej i Piekarskiej najważniejszą rolę odegrała znana wówczas kawiarnia „Szneidra". Tam to wieczorami gromadziła się lwowska brać artystyczna, tam przez szereg lat zachodził codziennie Jan Kasprowicz na partię domina i dyskusje „de omnibus rebus et giubusdam aliis", tam pewnego wieczoru Leopold Staff, grając w bilard, improwizował wiersz wykpiwający modernistyczną poezję. Widzę go i słyszę dziś jeszcze, jak z kijem bilardowym w ręku dyktuje Heniowi Zbierzchowskiemu...

Tam zaprzyjaźniłem się z kosmicznie mistycznym Tadeuszem Micińskim, wielkim lecz niezrozumiałym poetą, autorem „Rabinowej nocy", „Bazylissy Teofanu" oraz tomu przecudnych liryków pt. „W mroku gwiazd". Tam poznałem Stanisława Przybyszewskiego i Stanisława Wyspiańskiego, gdy na premierę „Wesela" przyjechał do Lwowa, tam z Karolem Irzykowskim i Stanisławem Womelą wykłócaliśmy się o naturalizm w sztuce i o empiriokrytycyzm niemiecki Macha i Avenariusa. Tam Felek Przysiecki, wielki talent liryczny, deklamował swoje poezje, Kornel Makuszyński zabawiał wszystkich wymyślnemi złośliwostkami, a Jerzy Żuławski zachwycał się zdolnościami aktorskimi rudej Ireny Solskiej, dla której napisał swego »Erosa i Psyche«".

W innym miejscu znajdujemy we wspomnieniach Wieniawy kolejną reminiscencję z akademickich czasów: „...kawiarnia we Lwowie. W gronie literatów młody student medycyny, krawat mickiewiczowski, włosy blond ułożone w liryczne pukle, dyskusja na nieśmiertelny temat miłości i śmierci prowadzona z entuzjazmem tak smętnym i wnioskami tak beznadziejnymi, że Tadeusz Miciński, poeta również wielki, jak niezrozumiały filozof i mistyk, wychodząc ze mną, gdyż tym młodzieńcem byłem ja, nad ranem z kawiarni bierze odeń słowo honoru, iż w ciągu roku nie odbierze sobie życia".

Sądzę, że należy poświęcić chociaż kilka słów postaci niemalże zapomnianego już dzisiaj Tadeusza Micińskiego (1873—1918), bowiem wszystko wskazuje na to, iż twórczość jego, przepełniona idealistycznym posłannictwem ogólnoludzkiej miłości i duchowego rozwoju człowieka, a przy tym nasycona grozą i mistyką Wschodu oraz okultyzmem i filozofią różokrzyżowców, wywarła na Wieniawie ogromne i nieprzemijające wrażenie.

Miciński był „wszechstronnie uzdolniony — pisze Jerzy Illg — i owiany tajemniczą legendą twórcy Młodej Polski. Poeta, prozaik i dramaturg, żarliwy publicysta i świetny mówca, pisarz, do którego przylgnęło miano „opętanego Polską". [...] Idealizm, umiłowanie prawdy i wiedzy, wiara w nieograniczoną wolność ludzkiego ducha, w moralne i polityczne odrodzenie swego narodu i jego twórcze możliwości, stanowiły cechy stale obecne w twórczości autora...

Równocześnie żaden chyba twórca Młodej Polski nie rzucił społeczeństwu w twarz tylu inwektyw i oskarżeń, nie gromił tak surowo „bezdusznych eunuchów lojalizmu" i „tłumu zadżumionych skazańców" — ich zmaterializowania, zaniku uczuć patriotycznych i religijnych [...]".

Postać Tadeusza Micińskiego, zwanego w literackich kręgach „magnum Mistyficińskim", tak zapamiętał Alfred Wysocki:

„Był zawsze ten sam. Nikt nie znał jego wieku, a bujna broda, którą z wielką powagą przeczesywał palcami, i oczy o niezwykle głębokim, jakby mistycznym spojrzeniu, nadawały mu wygląd starszego, dojrzałego mężczyzny. On zaś miał wówczas najwyżej dwadzieścia dwa lub cztery lata. Prawie nigdy się nie śmiał i nie brał udziału w naszych frywolnych rozmowach. Nazywaliśmy go starcem".

Jakże innym był w tym czasie Jan Kasprowicz, w towarzystwie którego bardzo często przebywał Wieniawa. „Lubił szeroką pelerynę — wspomina Stanisław Lam, późniejszy naczelny redaktor wydawnictwa zaski. — ...erta i Michalskiego — i czarny kapelusz o olbrzymich kryzach. Miał w całej swej postaci oryginalność literackiego cygana, ruchliwość dziennikarza, którym na długi okres życia zrobiła go konieczność zarobkowania, humor dobrego kompana i — wówczas już — powagę profesorską. Wokół niego skupiała się cała brać literacka Lwowa, on jej patronował, umiał z nią żyć i używać życia. Wśród młodych on mimo wieku był najmłodszy duchem, wśród poważnych miał głos najpoważniejszy... Rozmach fantazji jego był olbrzymi, siły niewyczerpane".

Znany oraz ceniony malarz, wywodzący się z grupy krakowskich formistów, Tymon Niesiołowski, odnotował w swoim dzienniku:

„Na wakacje, jak co roku, pojechałem do Lwowa, gdzie Przybyszewski roztaczał ostatki swego czaru. W kawiarni Szneidra Kasprowicz, popołudniami, grywał namiętnie w domino w towarzystwie Solskiego i kilku przyjaciół. Przez okna tej kawiarni często można było widzieć przechodzącego pięknego młodzieńca w cylindrze. Był to Wieniawa-Długoszowski, wówczas student medycyny i przyjaciel nas wszystkich. Jeszcze mu się nie śniły amarantowe wyłogi ani Belweder, ani ułańska popularność skrojona na wzór księcia Józefa".

Jeden z wybitniejszych później dyplomatów II Rzeczypospolitej, Alfred Wysocki, wspominając Lwów napisał:

„U Szneidra zjawiał się stale student medycyny Bolesław Wieniawa-Długoszowski, późniejszy gen. Wieniawa, a wówczas — daję słowo, że piszę prawdę — abstynent. Gdy ktoś z nas czasem postawił kolejkę „mocnej w cienkim szkle", Wieniawa trącał się z nami wodą sodową z sokiem. Chłopak był jak malowanie. Jasne kasztanowate pukle układały mu się wdzięcznie na głowie o czystym, niemal klasycznym profilu. Był narzeczonym córki profesora uniwersytetu Balasitsa i zamierzał poświęcić się okulistyce. Ujmująco miły, dobrze wychowany chłopak".

Wracając pamięcią do kawiarni Szneidra, wspominał dalej Wieniawa: „Stamtąd w kilku wybieraliśmy się nieraz późną już nocą na nie zawsze bezpieczne wycieczki do knajp przy ulicy Gródeckiej lub Żółkiewskiej dla podsłuchania i skrzętnego notowania zabawnych piosenek „batiarskich", pełnych miejscowego koloru i zapachu, po drodze wdając się czasem w ryzykowne przekomarzania z popularnym na lwowskim bruku „Durnym Jasiem", na wpół wariatem, a na wpół oszustem i wydrwigroszem...

W tak rozmaitej lubując się i przebywając kompanii, wśród nocnych dyskusji i włóczęg, hucznych zabaw w karnawale i niezliczonych flirtów, ale też i przy wytężonej pracy na klinikach i w laboratoriach, zdawszy z odznaczeniem wszystkie rigorosa, z dyplomem doktora wszech nauk lekarskich pod pachą wyjechałem na Zachód, przez Wiedeń i Berlin do Paryża, poza Galicją nie znając zupełnie reszty Polski".

Zapowiadającą się dobrze karierę młodego lekarza, jak twierdzi wspomniany już kilkakrotnie Alfred Wysocki, „zmienił kaprys miłosny pewnej przedsiębiorczej damy, która rozbiła narzeczeństwo Wieniawy, wywiozła go do Paryża, gdzie z okulisty i abstynenta wyrósł niedoszły malarz i niby pisarz, a w gruncie rzeczy cygan i popijała".

Damą tą była Stefania Calvas, świetnie zapowiadająca się śpiewaczka, z którą Wieniawa zawarł ślub opuszczając kraj w 1906 roku.

cdn.

rys. Z. Czermański

„CZY PAMIĘTASZ CHER AMI COLONELA POSTAĆ?"

Fotografia lat siedemdziesiątych

Jerzy Busza

NIECHAJ mi czytelnicy darują chełpliwe wyznanie: znam nadto dobrze sytuację, w jakiej znajdowali się artyści w minionej dekadzie, której byłem naocznym świadkiem, a w pewnej mierze także uczestnikiem, związanym przyjaźniami bądź sojuszami towarzyskimi z gremialną większością ludzi tworzących obecną „neo-awangardę" sztuki. Jako krytyk pragnąłem być aliantem artystów, co, miejmy nadzieję, nigdy, przenigdy nie tępiło mego zmysłu krytycznego.

W potocznych i zupełnie słusznych mniemaniach minione dziesięciolecie zamykają wydarzenia Sierpnia' 80. Sfera kultury, nie tylko oczywiście w Polsce, posiada jednak swój własny kalendarz. Więc choć aspekt polityczny działań artystyczno-fotograficznych wydawać się może niepomijalny (jeżeli nie najważniejszy), to w rozumieniu piszącego te słowa względy polityczne — wyjątkowo pogmatwane, najeżone ogromem komplikacji — nie były jedynymi, co więcej, w żadnej mierze nie były decydującymi o kształcie sztuki-fotografii minionej dekady. Nie skłamię, jeśli powiem, że dostaję szału, ilekroć słucham nawiedzonych i prostodusznych posiadaczy legitymacji związków twórczych, gotowych brak natchnienia i marność własnej twórczości przypisywać deprymującym minom i dąsom trzeciorzędnych działaczy naszej polityki kulturalnej. Tak już, niestety, jest, że miernota zwykle czepia się życiowego nieudacznika, by wzajemnie dla siebie pozostawać żywym wyrzutem lilipuciego, skundlonego sumienia.

Niepodobna zrozumieć dorobku minionego dziesięciolecia bez zrozumienia jego natury intelektualnej. Z pewnym uproszczeniem można powiedzieć, że chaos w sferze preferowanych przez artystów różnorodnych opcji światopoglądowych stał się oczywistym faktem. Faktem tak dalece towarzyszącym różnorodnym poczynaniom artystyczno-intelektualnym, że nikt nie odważyłby się tego stanu rzeczy nazwać „kryzysem". Wręcz przeciwnie, w istniejącym gąszczu idei artystycznych wszyscy gotowi są upatrywać swoisty rodzaj „symptomu" naszych czasów. Jest to ogromnie ważne, bowiem temu zjawisku zawdzięczamy istniejący dzisiaj pluralizm postaw czy też „filozofii artystycznych", żywych i tyleż wzajemnie się uzupełniających, co i wykluczających.

Dla bardzo wielu współczesnych krytyków, do których zalicza siebie piszący te słowa, nie jest rzeczą istotną, w jakim tworzywie pracuje artysta; fotografia jest jednym z wielu, pośród ołówka, farb, kamieni, flamastra czy ekranu telewizora. Takie podejście od razu zwolni mnie od udzielania wyczerpującej odpowiedzi na bardzo już anachroniczne pytanie: czy fotografia jest, czy nie jest sztuką? Oczywiście, nie jest, tak jak nie jest nią fortepian, kredki lub drut, choć w rękach artystów z fortepianu, kredek czy drutu mogą powstawać „przedmioty artystyczne" — do słuchania, oglądania etc.

Współcześnie istnieją dziesiątki sposobów, by opisać „całą sztukę", to znaczy, by w opisie uwzględnić wszystkie tworzące ją zjawiska i by każde z nich uzyskało należne sobie miejsce. Jeden z takich sposobów zaproponował Stefan Morawski i tutaj z niego skorzystam, by pokazać, że tworzywo fotograficzne było wręcz wszechobecne w działaniach neoawangardy. Stefan Morawski zaproponował rozumienie zjawiska sztuki najnowszej jako czterech wzajemnie uzupełniających się nurtów uprawianej dzisiaj twórczości. W pigułkowym streszczeniu omówimy je po kolei.

Pierwszy z nich to „sztuka technologiczna". Tutaj artystom —„technologom" chodzi o to, by w sztuce przyswoić najbardziej technologicznie zaawansowane materiały, sposoby ich obróbki, także odkrycia naukowo-techniczne po to, by poszerzyć możliwości wykonawcze artysty i odbiorcze — odbiorcy. Fotografia, której naturą jest chemia i mechanizm kamery — dla artystów „technologów" była tworzywem wymarzonym. Fotografia sama, ale i tworzywa „pochodne", jak holografia czyli fotografia trójwymiarowa, video czyli działania artystyczne realizowane przez kamerę tv itp. Z polskich twórców, których żaden nie był tutaj prekursorem, ale przynajmniej legitymuje się istotnym dorobkiem, wymieniłbym przede wszystkim Andrzeja Lachowicza i, na upartego, Stefana Wojneckiego. Brak tego typu działań u nas łatwo objaśnić olbrzymim zacofaniem technologicznym, o czym nie mają zupełnie pojęcia artyści pracujący w bogatych krajach. Tutaj prymat wiodą artyści amerykańscy.

Drugim nurtem jest nurt „sztuki metodyzującej". Prawdziwą inspirację dla tego typu działań stwarza nauka, teorie informacji, nauki ścisłe, semiologia. Tematem tych prac nie jest ani sam artysta, ani podejmowana przez niego rzeczywistość, lecz sztuka sama, pojmowana jako fenomen wątpliwy, zmuszający artystę do różnorodnych operacji analitycznych usiłujących odkryć reguły, którymi się posługuje. Produktem finalnym artystów-„metodologów" jest już meta-sztuka, a więc jak gdyby „sztuka zrealizowana przez sztukę". Tutaj fotografia odegrała olbrzymią rolę służącą do różnorodnych działań typu dokumentacyjnego. I stosunkowo duża liczba artystów polskich posiada w dorobku prace liczące się w skali międzynarodowej. Z najciekawszych nazwisk warto zapamiętać: Zbigniewa Dłubaka, Jana Świdzińskiego i Józefa Robakowskiego, ale również Andrzeja Różyckiego.

Trzecim nurtem jest nurt „aleatoryczno-ludyczny", którego najnowszą historię inauguruje oczywiście happening. Nurt ten obejmuje zarówno grę, której jest również podstawą, jak i respektowanie jakichś, proponowanych przez artystę, reguł. Myślę, że najsensowniejszy dorobek posiada tutaj Zdzisław Sosnowski, Natalia Lach-Lachowicz, Włodzimierz Ochnio.

I wreszcie ostatni nurt to sztuka „pop-art-u", czyli te wszystkie przedmioty artystyczne, które do istnienia powołała współczesna cywilizacja, więc przedmioty „cywilizacji obrazkowej", seryjne, sztampowe, wylizane i przestylizowane. Prawdę powiedziawszy, z tym śmietnikiem dzisiejszego świata polscy artyści nie mieli zbyt częstych kontaktów. Nasze zawsze wyjątkowo skromne warunki decydowały, iż polski artysta nie spotykał się zbyt nagminnie z puszką zupy Cambell, nie kąpał swej muzy w pianie Revlon i myole Ivory.

Wszyscy ludzie, których tu wymieniam, to absolutna, europejska czołówka, nazwiska pierwszej wielkości, bez których polska kultura plastyczna zamienia się w pustynię nic nie mówiącej średniości. Przy czym pamiętajmy, artyści ci funkcjonują w systemie sztuki tylko dzięki fotografii i dzięki temu, że uprawiali ją również w latach 70-tych.

A jednak, twierdzę, że najpełniej fotografia realizowała się poza sztuką — w bardzo szeroko rozumianej kulturze. Nie zapominajmy, że przedmiotem fotografii jest cały świat — jest on pochłaniany przez fotografię i zamieniany w obrazki. W tym sensie jest to tworzywo doskonałe — wszystko, na co skieruje się oko kamery, fotografia jest w stanie przekształcić bądź w obraz, bądź w towar. I stąd właśnie wynika cały szereg kwestii socjologicznych, etycznych i historycznych, jakie pojawiają się z powodu społecznej obecności fotografii. To dlatego należy pilnie studiować nie sposoby wykonywania fotografii, ale sposoby jej funkcjonowania po prostu — w szeroko rozumianej przestrzeni społecznej. Ta wiedza to efekt kilkadziesiąt lat trwających wysiłków wielkiej międzynarodówki teoretyków, krytyków fotografii i wielu dziedzin pokrewnych. Spopularyzowanie tej wiedzy jest niewątpliwym osiągnięciem lat 70-tych. Refleksje teoretyków zrażają zwykle swoją nieprzystępnością nieprofesjonalistów. Nie ma jednak aż tak zawiłej wiedzy, której nie dałoby się opowiedzieć w sposób możliwie komunikatywny. Mniejsza więc o cytaty i o powoływanie się na teksty źródłowe, głównie obcojęzyczne, choć w różny sposób przyswojone krajowemu czytelnikowi, głównie przez Urszulę Czartoryską, Sławomira Magalę i piszącego te słowa, co gwoli prawdy nieskromnie dodaję.

U źródeł wszystkich teoretycznych konstatacji leżała prawda niezbita. Okazało się mianowicie, że fotografia zupełnie zmieniła sposób, w jaki ludzie patrzą na rzeczywistość zewnętrzną. Patrzą mianowicie przez pryzmat „fotogeniczności" świata i dostrzegają bądź ignorują to, co łatwo da się przekształcić w obraz. To jedno, po drugie dostrzeżono, iż fotografia odznacza się wręcz „kanibalizmem" w takim znaczeniu, iż wszystko pochłania. Jednocześnie „zamraża" i miniaturyzuje obrazowany świat. Tym samym znieczula ludzką wrażliwość na obrazy świata. Łatwo to wytłumaczyć, choćby tym, że współczesny człowiek rzeczywistość realną i rzeczywistość na fotografii traktuje „wymiennie". To znaczy — sceny przemocy, horroru, dramatów, które dzieją się w rzeczywistości, wydają się nam tak malowicze, jak gdyby były obrazem. Te same sceny na obrazie niezmiernie rzadko pobudzają ludzką aktywność, odruch sprzeciwu czy jakikolwiek, wartościujący stosunek. Można by rzec, że fotografia wyposażyła nas w niezwykłą odporność i poniekąd nauczyła współczesne społeczeństwo niebywałej bierności na dziejące się wokół ludzkie nieszczęście.

Wcale nie żartuję, gdyż każdy współczesny człowiek musi mieć w pamięci choćby jedno zdarzenie, kiedy prawdziwa nędza wydawała mu się na swój sposób estetyczna. Dość przypomnieć wielkomiejskie podwórka, pełne cuchnących rynsztoków, które choćby przez ułamek sekundy wydawały nam się — pomimo oczywistych negatywów — „Malowniczymi zaułkami". Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Wszystkie one potwierdziłyby ongi poczynioną przez Oskara Wilde'a uwagę, iż sposób widzenia jest w ogromnym stopniu zdeterminowany przez sztukę.

Jeden z najgłośniejszych fotoreporterów XX wieku, Henri Cartier-Bresson, powiedział niedawno, że z chęcią zrezygnuje z fotografii, gdyż nareszcie chce patrzeć „wolniej". Kamera fotograficzna nauczyła nas patrzeć błyskawicznie, wyrywkowo migawkowo, nie pozostawiając czasu na głębsze zastanowienie się. To właśnie nauczyło współczesnych ludzi prześlizgiwać się wzrokiem po powierzchni rzeczy, a jednocześnie zmieniło poniekąd strukturę naszej świadomości, kierując ją na rzeczy niezwykłe, ulotne.

Z kolei fakt, że kamera „wszystko widzi" i jednocześnie jest „błyskawiczna", spowodował szok, jakim było odkrycie „rzeczywistości fotograficznej". To znaczy takiej, której nie sposób zobaczyć w potocznym doświadczeniu i którą znamy jedynie z fotografii. Krańcowo absurdalnym przykładem może być fotografika kosmiczna czy zdjęcia podwodne, ale również niebywałe osiągnięcia makro i mikro-fotografii. Brzmi to niewiarygodnie, ale dzięki takiej fotografii, w sposób nie mający do tej pory precedensu, powiększył się obszar ludzkiego doświadczenia poznawczego.

Na koniec tej wyliczanki „psycho-społecznych aspektów fotografii" — jak się potocznie określa — wspomnijmy i o tym, że fotografia w sposób zupełny zmienia się w zależności od kontekstu, w jakim jest oglądana. Sama jest jak gdyby niewystarczająca, musi przeto ciągle eksploatować coś wokół siebie i dlatego jest coraz to inna w różnych otoczeniach. Przykładem może być jedno i to samo zdjęcie portretowe. W dowodzie osobistym jest przedmiotem służącym identyfikacji właściciela dokumentu, w gazcie — „fotografią prasową", w galerii — „dziełem sztuki", w archiwum policyjnym może być fragmentem kartoteki etc.

Rzecz zupełnie zadziwiająca, ale w naszych niezupełnie, jak się to teraz okazało, normalnych warunkach — powyższe refleksje znalazły swoje odbicie w nurcie tzw. „fotografii socjologicznej". Termin ten, pochodzący zresztą z francuskiego importu, przyswoiła naszej praktyce krytycznej Urszula Czartoryska. W swej wersji oryginalnej znaczył on każdą, jakąkolwiek fotografię, która stawała się materiałem badawczym w warsztacie socjologa. W połowie lat 70-tych piszący te słowa wylansował już ten termin dla oznaczenia czegoś, co na całym świecie nosi nazwę „fotografii politycznej". O tej ostatniej nie mówiliśmy nic ze względów cenzuralnych, a poza tym znaliśmy ją jedynie w jej propagandowym wydaniu. I aczkolwiek hasło „fotografii socjologicznej" po raz pierwszy pojawiło się w moim tekście, to postulat uprawiania takiej fotografii pojawiał się oczywiście dużo wcześniej, dość wspomnieć z 1974 roku, drukowaną na łamach ITD, dyskusję pt. „Ostrzej widzieć", której nie publikowane zwłaszcza fragmenty ekscytowały fotograficzne środowisko. Przypomnijmy, brali w dyskusji tej udział: J. Rurański, J. Bartkiewicz, K. Barański i J. Michlewski.

Obecnie zanika na szczęście interdyscyplinarna nazwa „fotografia socjologiczna" i coraz częściej mówi się o fotografii społecznej. Myślę, że najlapidarniej można ją określić stwierdzeniem, iż jest to fotografia prowokująca odbiorcę do stawiania sobie pytań o sens potocznej, jednostkowej egzystencji. W tym rozumieniu jest to fotografia, która unika dawania jakichkolwiek odpowiedzi, zwłaszcza „okrągłych", „prostych", w czym, jak się łatwo domyśleć, celuje fotografia propagandowa. Fotografia społeczna nie jest jednak prostym przeciwstawieniem fotografii propagandowej. Jest raczej próbą polemizowania z nią w imię poczucia prawdy, tym trudniejszej, że artystycznej, więc ze swej natury najdalszej od obiektywizmu.

Na zakończenie z przyjemnością wspomnę, że lata 70-te przyniosły ogromne zainteresowanie starą fotografią, co miejmy nadzieję, przyniesie nową falę zainteresowań fotograficzno-kolekcjonerskich. W krajach nieco bogatszych od Polski fotografia stanowi wspaniałą lokatę kapitału, co jest, rzecz jasna, możliwe w sytuacji istnienia rynku sztuki z prawdziwego zdarzenia, którego w Polsce też nie ma i nie zanosi się, byśmy go u nas szybko stworzyli.

Warto powiedzieć, że na tle działań twórców zagranicznych należymy niewątpliwie do artystycznej czołówki. Kilku pracujących w tworzywie fotograficznym artystów istnieje w „świadomości światowej". Nie są to artyści tej miary, że jak nie zrobią wystawy, to słońce gotowe nie wzejść — ale po prostu istnieją i są uwzględniani. Znacznie gorzej czy wręcz opłakanie przedstawia się sytuacja fotografów pracujących poza układem sztuki. Do dzisiejszego dnia nie potrafiliśmy kogokolwiek wylansować tak, by można było o nim spokojnie napisać: to fotograf światowego formatu. Takich fotografów mają Czesi, Węgrzy — my niestety nie. Nawet Edward Hartwig świeci światłem odbitym, nie posiadając do dzisiejszego dnia porządnie wydanej monografii własnej twórczości. (Nawiasem mówiąc, w ubiegłym roku E. Hartwig obchodził 50-lecie działalności artystycznej, która przypadła w 141 roku istnienia fotografii w ogóle...).

Brak więc naszej fotografii książek, publikacji monograficznych, brak historii w postaci książki. Co więcej, nasza fotografia istnieje właściwie bez zaplecza ze strony przemysłu, który by o nią zabiegał. I tak dalej. Lista braków i niedostatków jest oczywiście bardzo długa. Tylko, że kiedy myślimy o niej, przychodzi nam zwykle do głowy, iż są przecież ważniejsze rzeczy i pilniejsze do nadrobienia braki. I jest to oczywiście prawda. Ale prawdą również pozostaje, że kultura nie toleruje miejsc pustych...

SPOTKANIA

Tadeusz Jaśiński

JECHALIŚMY wreszcie do niego. Ze ściśniętym sercem siedziałem w pociągu, który wiózł nas na spotkanie ojca. Jak daleko sięgnę pamięcią, zawsze marzyłem, żeby go mieć przy sobie — jak dzieci Marysi, stryja Maksa, jak moi koledzy, których ojcowie byli na miejscu, dotykalni, żywi, prawdziwi. Mój ojciec zawsze wydawał mi się kimś nierealnym, trudnym do wyobrażenia, egzystującym jedynie w różnych wcieleniach w opowieściach babki, we wspomnieniach mamy. Jedynym śladem jako tako realnym, busolą, która miała wskazywać, jak on wygląda, był stryj Maks, do którego ojciec był rzekomo podobny. Bałem się tej chwili, tego pierwszego wrażenia, choć przecież tak dawno chciałem poznać tego nigdy nie widzianego człowieka — mojego ojca. I teraz, kiedy pociąg przejeżdżał wśród obojętnych mi, obcych krajobrazów Dolnej Saksonii, myślałem już tylko o tym jednym — że niedługo spotkamy się, musi się to stać nieodwołalnie.

Kiedy wreszcie zamigotały zabudowania brunszwickiego dworca, podniecony podniosłem walizki i ruszyłem do wyjścia. Wysiadłem i stanąłem na peronie, rozglądając się za sylwetką podobną do stryja Maksa, ale w nikim z oczekujących nie rozpoznałem ojca. A tak bardzo chciałem go rozpoznać, od razu zobaczyć, przekonać się, czy będę go mógł kochać. Zagubieni i rozczarowani zatrzymaliśmy się koło jednego z filarów dachu. Peron pustoszał ,a do nas nikt nie podchodził. W oddali zobaczyłem grupkę ludzi.

— Mamo, to chyba oni — powiedziałem i poszedłem w ich kierunku.

Wychylili w moją stronę głowy. Przyglądali się bacznie. Patrzyłem na najstarszego z nich, ale też nie znalazłem w nim żadnego podobieństwa do stryja Maksa. Podszedłem jednak.

— Czy państwo nazywają się może Patrzałkowie? — zapytałem.

— Ja, ja — odwrócił się jeden z nich, wysoki mężczyzna w średnim wieku. — Ja, ich bin Georg Patschaleck.

Najstarszy z tej grupki poruszył się niespokojnie. Spojrzał na rozmawiającego ze mną Jerzego. Ręce opuścił bezradnie. Oglądał się, jakby w powietrzu chciał znaleźć dla nich oparcie. Popatrzył w stronę matki, siostry, brata, którzy podchodzili. Staliśmy tak wszyscy naprzeciw siebie, zakłopotani i niepewni, co robić. Tę sytuację przełamała szesnastoletnia może dziewczyna i młodszy od niej chłopiec. Pociągnęła go za rękę, podlecieli do mnie i wtedy ona pierwsza zarzuciła mi ręce na szyję, wołając:

— Onkel!... — zatrzymała się na moment, wahając się pewnie, jakiego imienia tu użyć: Bruno czy Waldemar, ale w końcu powtórzyła tylko: Onkel! — i pocałowała mnie mocno, bez zażenowania. Za chwilę ściskała już moją matkę, a potem Irkę i Brunona.

Wtedy stanąłem przed ojcem. Wiedziałem, że tego pragnie i oczekuje jak czegoś mu należnego i oczywistego. Wpatrywał się we mnie swymi wyblakłymi, może kiedyś niebieskimi oczami badawczo, wnikliwie, ale nie zrobił ani kroku w moją stronę. W lewej ręce trzymał fajkę i drażniło mnie, że jej nie schował, kiedy przyjechał pociąg, że nie odrzuca jej nawet teraz, ale co chwilę podnosi do ust i pyka. Nie był tak wysoki jak jego brat Maks. Stryj zresztą wcale do postawnych nie należał, ale ojciec wydał mi się jeszcze niższy i trochę przygarbiony. Teraz zrozumiałem, jak bardzo mogą kłamać fotografie.

Pewnie jednak uznał, że nasze wzajemne przyglądanie zbytnio się przedłuża, bo odpukał resztki popiołu z fajki o filar, schował ją do kieszeni i zawołał:

— Aleś ty wyrósł, chłopak — po czym wyciągnął do mnie ręce.

Podszedłem bliżej. Pocałowałem go w oba policzki tak jak przykazała babcia. Pomyślałem jednocześnie gorzko, że on teraz nawet nie wie, który z nas jest Bruno, a który Waldek. Pojąłem, że ściskam obcego człowieka. Zakręciły mi się łzy w oczach. Ojciec to dostrzegł i przyjął z zadowoleniem, jako wyraz synowskich uczuć. Uspokoiłem się. Ojciec witał się już z Irką i Brunonem, którzy byli podobnie skrępowani jak ja przed chwilą, przyciągał ich ku sobie raz po raz i co chwilę obniżał lewą rękę nad ziemią, mówiąc:

— Byłaś taka maciupeńka, kiedy wyjeżdżałem, a Bruno niewiele wyższy. — Popatrywał to na brata, to na mnie, jakby nadal nie wiedział, który z nas jest który.

Bardzo serdecznie i szczerze witał nas Jerzy. Po kolei brał nas w ramiona z niekłamanym wzruszeniem i mamrotał słowa radości na wpół po polsku, na wpół po niemiecku. Poczułem do niego od razu sympatię. I choć mógłby być moim ojcem, te tak spontanicznie okazywane nam braterskie uczucia sprawiały, że pomyślałem z ulgą o tym, że może nie będę taki osamotniony, że jakoś tu wytrwam, skoro mam starszego, kochającego mnie brata.

Trudno mi teraz przywołać tamto powitanie w szczegółach. Za bardzo byłem wtedy rozgorączkowany, niepewny siebie i tych nagle odzyskanych bliskich, aby zapamiętać wszystko dokładnie. Nie wiem nawet, jak wyglądały pierwsze momenty, pierwsze sekundy „odnajdywania się" po latach rodziców. Kiedy ochłonąłem trochę z wrażenia, zobaczyłem ich już obejmujących się ramionami, ze łzami powtarzających swoje imiona. Coś chwyciło mnie za gardło. Byłbym się rozryczał, ale właśnie Jerzy wołał mnie, żeby mu pomóc przy bagażach.

* * *

— Ojcze! Nienawidziłem cię, gdy tu jechałem.

— Za co?

— Była to podróż do ostatniej granicy. Jaką człowiek może przejść, gdy wyrzeka się ojczyzny, była to droga do zatrutej studni ludzkiego doświadczenia.

— Ale za co? A teraz? Czy teraz nienawidzisz mnie nadal? Jeszcze mnie nienawidzisz?

— Nie wiem.

— Czuję, że mnie nie lubisz. Od przyjazdu ani razu nie szukałeś ze mną rozmowy. Nigdy w cztery oczy, zawsze przy kimś.

— Ale dziś chcę cię zapytać, chcę wiedzieć... czy czujesz się Polakiem?

— Mój ojciec był powstańcem.

— I zamordowali go Niemcy. Wiem. Słyszałem od babci, od twojej matki. W książkach pisze o Auguście Patrzałku.

— Nie masz prawa tak do mnie mówić, Waldi! U nas, na Śląsku nikt do ojca tak się nie zwraca.

— Kiedyś poprzysiągłem i w drodze umyśliłem sobie, że nie powiem ci nigdy: ojcze, a dziś od tego rozpocząłem rozmowę.

— Czemu więc płakałeś na dworcu, przy powitaniu?

— Bo zrozumiałem, że ściskam obcego człowieka. Ty nim byłeś, tato!

— Myślałem, że się cieszysz, że dlatego płaczesz.

— Rozżaliłem się nad swoim sieroctwem.

— Więc to nie było z radości — ni spytał, ni stwierdził, kiwając przy tym głową.

— Nie wiedziałeś, kto płacze — ja czy Bruno — powiedziałem z pretensją. — Nie wiedziałeś tego, prawda?

— Prawda.

— Odczytałem to w twoim spłoszonym spojrzeniu.

— O co mnie obwiniasz, synu? Nie ja tworzyłem przegrody. Nie ja wyzywałem swój los, nie chciałem wojny.

— Bez wojny dziadkowe pragnienia zostałyby szlachetnymi marzeniami. Brzostówka byłaby nadal niemiecka, nic by się nie zmieniło.

— Ale bylibyśmy razem. Żyłby Staszek.

— Mogłeś wrócić. Nie musiałeś tu zostawać.

— Staszek by żył — powtórzył.

— Nie czekałeś Polski.

— Powiedz, kto nie czekał? Każdy chyba za nią wypatrywał.

— Tym, co się rodzili po wojnie, nadawałeś niemieckie imiona. Był Stanisław i Jerzy, a potem już Bruno, Irene, Waldemar. Nawet dla mnie przewidziałeś to imię, choć nie mogłeś wiedzieć, że się urodzę. Umiem to sobie teraz obliczyć.

— Nie ja sam tak nazywałem dzieci.

— Jerzy-Georg może być szczęśliwy. Przynajmniej jego imię tłumaczy się na niemiecki. Nie wybaczyłby ci teraz, gdyby się zdarzyło inaczej. Jemu zależy, żeby nie brzmiało ono po polsku. Mojego nawet nie trzeba przekładać: Waldemar tu brzmi także swojsko.

— Gryzie cię coś synku? Coś cię męczy. Ja to widzę i Mutti to czuje. Zamartwia się.

— Niedobrze zrobiliście, tato, że kazaliście nam tu przyjechać.

— Mama też miała prawo do ojczyzny.

— Das Recht auf Heimat? Mama urodziła się w naszych stronach.

— Wszystko się zmieniło. Sam nie wiem, czy czułbym się tam dobrze. Czasem mi tęskno. Nie potrafię tego wszystkiego nazwać tak uczenie jak ty, ale też mi było nie raz, nie dwa markotno. Żadnego uszanowania tu nie miałem. Tylko narówkę. Najcięższą, najczarniejszą robotę, której nikt nie chciał, ja wykonywałem. Żeby mieć tylko część tego, co przeniosłem na swoim grzbiecie, bylibyśmy bogaci.

— Jeszcze możemy wrócić, ojcze. Emeryturę będą ci przesyłać do Polski.

— Babcia Katarzyna chciałaby tego, wiem. Pisała w listach: wracaj, synu, wracaj, póki dzieci małe. A ja myślałem, że wyłgam się paczkami.

— Miałeś tu kobietę. Matka wie o tym od dziadków.

— Miałem — ojciec zwiesił głowę. — Miałem, ale potem powiedziałem jej: Odejdź. Można się połączyć. Każę przyjechać żonie i dzieciom.

DEBIUT

Mirosław Olech

* * *

jeśli nazwiesz poezją
ciszę w której słychać
rozmowę kosy
ze zbożem ujarzmionym
jeśli usłyszysz symfonię
o poranku
który położył rosę
na zielonej jeszcze trawie
i rozmawiasz z ciszą
sercem milczącym
jeśli dialog ten
jest sceną z wielkiej sztuki
wielkiego teatru
a kiedy dotkniesz stopą
ciała ziemi rozedrganej
i będziesz szczęśliwy
jak w rozwartych udach kochanki
to jesteś moim bratem

* * *

za progiem drewnianym
chaty skromnej
gdzie babcia
wyszyła kolorowe poduszki
jutro zapachnie skóra
rozwianą grzywą konia
skoszoną trawą
zafunduję sobie symfonię
w wykonaniu wielkiej orkiestry
pod batutą wiatru

* * *

żal mi tych
oszukanych twarzy
z inkubatora
jedenastopiętrowego
zwierzątek karmionych technikolorem
bo cóż wie o szczęściu
kto nie czytał elementarza
przy lampie naftowej

Sten Kidna

NIE PÓJDĘ WASZYM ŚLADEM

Towarzysze pieśniarze
utalentowani
tak dziarsko uderzacie w struny gitary
towarzysze pieśniarze
radzicie broń chwycić w ręce
wzburzacie młode serca
Ja nie idę z wami
nie, nie pójdę waszym śladem
drogą wyboistą
której etapem jest wściekłość
a kresem — śmierć

.....

Wieczór czerwcowy
przeszyty strzałami
trup jeszcze ciepły na ziemi
i ludzie oniemieli
— lepiej być cicho —
albo przychylni mordercom

.....

Nie mówcie bym karabin ujął w dłoń
bronią się spraw nie rozwiązuje
i nigdy karabin nie wyzwolił ojczyzny
od prawdziwych jej wrogów:
niewiedzy egoizmu nienawiści
Zaśpiewajcie raczej młodzi towarzysze
o heroizmie walki dnia codziennego
o dniach długich o latach
o słowach które z ust nie schodzą
o tych samych polach bez przerwy uprawianych
o wspólnych warsztatach
o nadziei i cierpliwości owocach
które zrodzi nasza ziemia

.....

Zatem młodzi towarzysze Bretończycy
pieśniarze którzy wzburzacie serca
łatwymi sztuczkami
sędziwych starców
zmieńcie rytm
niech odwagi wam nie zbraknie
nową założyć płytę
i żeby łany pól kraju naszych przodków
żadna krew nie zrosiła niewinna
czy plugawa
jak brzmi pieśń starej nacji
imperialistycznej
tak dobrze wam znana

Rys. K. Inglot

— Późno mamę zaprosiłeś. Wtedy już wielu przyjeżdżało z Niemiec, pisało proszalne listy o zezwolenie na powrót.

— Chciałem choć trochę uszczknąć z tego życia, choć trochę. Co ja dotąd miałem? Dawniej na gospodarstwie był dziadek. Pomagałem, ale jak nakarmić żonę i obu chłopaków, jak siebie wyżywić na tym kawałku? O robotę nie tak łatwo, jeździłem więc na saksy. Dziadek Neumann też tu przyjeżdżał, a potem za zarobione pieniądze założył ten warsztat i został.

— To było przed wojną, a teraz, a po niej? Dziadek miał prawo tu zostać, ale ty i Jerzy? Winniście byli wrócić. Wiesz o tym. Przez was straciłem dziewczynę, którą kocham. Przez ciebie nie mogę studiować, bo prowadzony na dworzec jak przestępca musiałem tu przyjechać. Może niedługo zmuszą mnie przywdziać mundur, którego tam nauczono mnie nienawidzieć. Zechcą mnie wziąć do Bundeswehry.

— Jesteś obywatelem RFN. Ja służyłem w niemieckim wojsku. Dziadek służył i pradziadek.

— Dziadek August wiedział, do czego użyć broń, którą mu dali. Poszedł do powstania.

— Ja nie mogłem. Poddałem się tylko. Poszedłem do niewoli. Nie masz mnie prawa sądzić. Cierpiałem, ciężką niewolę przeżyłem, a przedtem front. Wielu tego nie doczekało.

— Bierzesz wojskową rentę za stracone zdrowie i masz emeryturę za tę ciężką robotę, dlaczego narzekasz?

— Jesteś okrutny, jak nie mój syn!

— Takim synem jestem, jakim ty byłeś ojcem! Całe życie zawsze mnie przez ciebie wytykali palcami. Nawet najlepszy przyjaciel. Nawet ona. Przez ciebie płakała tato. W tym dniu, kiedy przez ciebie i Jerzego płakała moja dziewczyna, zrozumiałem, że nie potrafię cię już więcej kochać, że cię nienawidzę.

— Jestem starym człowiekiem.

— Zobaczyłem to na peronie. Dlatego nie powiedziałem niczego, co sobie umyśliłem, że ci powiem. I moja nienawiść też znikła.

— Rzekłeś raz: historia nas wszystkich tłumaczy.

— Ty, tato, i ja, i mama i Jerzy nawet, i pozostawiona samotnie twoja matka, wszystko, co w Brzostówce, to są dzieje nasze...

— Historia to ludzie, chłopcze.

— I oni muszą sobie wszystko sami wyjaśnić.

— I rozgrzeszyć. We mnie jest tyle słów, które tłumaczą każdy mój czyn. Nic nie robiłem z dobrej woli, ciągle popychała mnie historia. Jestem małym pyłkiem w trybach wielkiej machiny. I ty, nawet ty już w te tryby jesteś wtłoczony i nie potrafisz się z nich wyrwać. Zmele cię ona tak samo jak mnie, jak Georga, jak dziadka, jak wielu.

— Wydostanę się z niej — przerwałem mu twardo. — Chcę tylko was prosić, nie przeszkadzajcie mi w tym.

— Jesteś pełnoletni. Możesz robić, co chcesz. W twoim wieku byłem ojcem. Staszek urodził się, kiedy nie miałem jeszcze dwudziestu jeden lat.

— Tamta dziewczyna opuściła Opole krótko po moim wyjeździe. Razem z rodzicami. Na moje listy milczała. Raz tylko odpowiedziała, skoro pozwoliłeś się schwytać, skoro wyjechałeś — chciałeś tego. Nie wierzę ci ani Ostapowi. Co ja o niej wiem? — powiedziałem w zamyśleniu. — Może i tam gdzieś płacze nieznany syn nieznanego ojca?

Potem, kiedy rozważyłem jej słowa z naszej ostatniej rozmowy, zrozumiałem, że mogły oznaczać coś więcej, niż wtedy do mnie dotarło.

— Za wszystko mnie winisz. Dla siebie nic nie pozostawiasz.

— Wydawało mi się, że już ci wszystko wybaczyłem.

— Kiedy to było?

— W czasie choroby mamy. Byłem bliski takiej rozmowy jak dzisiejsza. Ale potem zobaczyłem was w pochodzie. Twoja twarz i Jerzego blisko transparentu: Heimatvertriebene **).

— Widziałeś nas? — ojciec zwiesił głowę.

— Kto was wypędzał z ojczyzny!? Sami wyparliście się jej.

— Jerzy nie mógł wrócić. Nie mógł, Waldi, wierz mi.

— Domyślam się dlaczego. Od dawna się tego domyślałem.

— Ożenił się z Charlottą. Mają dzieci.

— Kłamiesz, ojcze! — Wybuchnąłem. — Mama mi kłamała mimowolnie, bo jeszcze nie znała prawdy o Jerzym, ale ty ją znasz.

— Nie wymagaj tego ode mnie — rzekł głucho ojciec. — Ciężko mówić.

— Nie chodźcie tam więcej, tato! Na co wam oni? Nie idźcie tam, nawet gdyby was Georg ciągnął siłą. Bo ja twojej matce będę zmuszony odpowiedzieć na jedno ważne pytanie. Babcia Katarzyna czeka na mnie. A gdy zapukam do drzwi, pierwsze jej pytanie będzie brzmiało jaki on jest? Czy Gustlik czuje się jeszcze Polakiem? Nie pozwólcie się tam zwabić nawet wtedy, kiedy mnie już tu nie stanie.

— Dali zapomogę, rozumiesz? Matkę twoją musiałem ratować. Dość się nacierpiała, gdy rozdzieliło nas życie. Pragnąłem, aby chociaż teraz poczuła, że ma opiekę. Dali na lekarstwa, ale żądali, abym przyszedł, kiedy wezwą.

— Teraz już nie musicie się im sprzedawać. Coraz bogaciej w naszym domu, pospłacamy wnet długi. Będzie można żyć. Wasza renta i trzy pensje młodych...

— Ciężko było mi iść w tym pochodzie.

— Za szybko szli?

— Widziałem oczy Georga. To nie była twarz wnuka dziadka Augusta. Waldek, on wrzeszczał, z taką wiarą jak przed wojną w Brzostówce Simony!

— Ojcze! — zawołałem nieoczekiwanie ciepło. — Tato!

Dopadłem zaskoczonego starego człowieka i ucałowałem jego nie ogoloną twarz. Płakałem jak w momencie, kiedy go przeklinałem. Inny był tylko powód. Nachyliłem się nad jego szorstkimi rękami, za te ostatnie słowa, za moją surowość, nieopatrzne sądy, za jego sterane życie i pochylone plecy. Sam nie wiem, za co jeszcze, może nawet za własne cierpienia. Podniosłem głowę. Twarz ojca także była mokra.

---

* Prawo do ojczyzny.
** Wygnani z ojczyzny.

Są to fragmenty powieści pt.: „Podróż do zatrutych studni", która ukaże się nakładem Oddziału Lubelskiego Krajowej Agencji Wydawniczej w księgarniach „Domu Książki" i placówkach „Ruchu" w październiku.

Józef Czechowicz

POD DWORCEM GŁÓWNYM W WARSZAWIE

z okien bryzgało blaskiem
królował w niklach bufet
biły pod sufit płaski
fontanny kwiatów kruche

są tam firanki płyną
dają tło cieniom sytym
czy to nocną godziną
czy szronowym przedświtem

alkoholu symfonie
fugi jarzyn i mięsa
ciszej grajcie w agonii
żywy głód się wałęsa

jeden głód kaszle szczeka
drugi głód palce łamie
na cóż trzeci głód czeka
drżąc we wnęce przy bramie

wielookie zarosłe
twarze głodów człowieczych
to są biedne księżyce
spustoszałych wszechrzeczy

dyszą kaszlają w runo
wytartego szalika
mówię wam przez nie runą
mocne twierdze jerycha

(z tomu „Nuta człowiecza", rok 1939)

• • •

pod paryż londyn warszawę
wiotcrca się ogniem podkop
gaszą go salw kurzawy
głuszą go szarże podków

z niezapisanych przyczyn
sztandary pięście rosną
pęcznieje ogień syczy
pachnie groźbą i wiosną

trzęsie już gruntem jak mina
niejeden już zbladł parlament
patrząc trwożnymi oczyma
na dymiące rany i szramy

pod ziemią dopiero kipi
a jużeście wielcy ścierpli
poczekajcie zakipi lepiej
może w lipcu może na sierpień

(czerwiec 1929)

9 września mija 42 rocznica śmierci Józefa Czechowicza. (Red.)

Kazimierz Andrzej Jaworski

ELEGIA VI

Marii Józefackiej

Kiedy na plecach dźwiga się krzyżyków siedem
i coraz bliżej ten ostatni krzyż,
czas na rachunek sumienia,
przypomnieć mi czas.
Bo choć znajdziecie je i w wierszach
i w dni mych trudnych kolejnach,
chcę jeszcze kropkę postawić nad i.

Kocham młodość i wierzę w młodość,
chociaż na plecach mam krzyżyków siedem,
a może właśnie dlatego.
Wierzę w proste dogmaty —
w słońce i kwiaty
i, jak to powiedział Kant,
w niebo gwiaździste nade mną
i prawo moralne we mnie.
Dlatego kocham człowieka,
dlatego kocham prawdę,
dlatego kocham góry,
ten symbol drogi wzwyż.
Dlatego kocham bohaterstwo
i nienawidzę nikczemności.

NIEPOKÓJ

W czas nienawiści i zagłady,
w niszczącym wszystko w krąg pożarze,
kiedy szyderczo upior blady
zagląda co dzień w nasze twarze,
przez bezmiar łez i krwi szaleństwo,
w obłędzie myśli i rozterce,
jak przenieść całe to maleństwo,
które zrodziło nasze serce?

(Z „Pism", tom I)

6 września mija 8 rocznica śmierci K. A. Jaworskiego. (Red.)

Ronan Huon

TAK

Zaprawdę niewielki jest nasz kraj.
Cudzoziemcy — naszymi władcami,
a my — słuchamy ich.

To oni nam mówią:
was nie ma.
Zaprawdę niewielki jest nasz kraj.
Mówili nam:
pozabijajcie się wzajemnie.
I to robiliśmy. Tak.
Zaprawdę niewielki jest nasz kraj,
a obcy — naszymi panami.

SĄ TACY

Są tacy, którzy język studiują,
oraz tacy, którzy go strzępią.

Są tacy, którzy za kraj umierają,
oraz tacy, którzy preparują jego historię.

Są tacy, którzy swe życie oddają,
oraz tacy, którzy wydają wyroki.

Są tacy, którzy się chwalą,
oraz tacy, którzy pracują w milczeniu.

Są tacy, którzy dla innych żyją.
A inni — żyją tylko dla siebie.

Jedni żyją dla pieniędzy,
a inni — wytwarzają dla nich bogactwa.

Są tacy, którzy oszukują,
oraz tacy, którzy własnym życiem płacą za czyjeś oszustwa.

Są tacy, którzy nic nie robią!
Oby wszystkich osądzono za ich czyny!

RONAN HUON, ur. w r. 1922 w Sant-Omer, poeta i prozaik, tłumacz i poliglota; wydał szereg powieści oraz zbiorów poezji, przełożył na język bretoński kilka powieści czołowych pisarzy walijskich i fryzyjskich.

STEN KIDNA, ur. w r. 1916 w Toulon, poeta i prozaik, tworzy w języku francuskim oraz bretońskim; wydał kilka zbiorów opowiadań, kilka tomików poezji oraz powieści.

Tradycje literackie języka bretońskiego sięgają XIV wieku, a początki państwowości Bretończyków — roku 387, kiedy przybyły z Walii do Armoryki książe Conan Meriadec obrał miasto Nantes za stolicę kraju. W okresie średniowiecza bretoński oraz walijski — jakkolwiek oddzielone od siebie geograficznie — pozostawały tym samym językiem.

Oblężenie Nantes przez wojska francuskie w roku 1487 — zakończone zdobyciem twierdzy — oznaczało dla Bretanii faktyczny upadek państwowości oraz początek trwającej po dzień dzisiejszy okupacji ze wszystkimi jej konsekwencjami. Pięćsetletni okres wynaradawiania i brutalnych represji ze strony kolejnych władców nie złamał jednak ducha Bretończyków, a ich kraj mimo wszystko nie stał się tylko egzotycznym zakątkiem dla znudzonych turystów, prowincją na peryferiach Wielkiego Mocarstwa. Nadzieje odżyły szczególnie teraz, kiedy prezydentem Republiki Francuskiej został socjalista. Wiele wskazuje na to, że Mitterand zerwie z niechlubną polityką swoich poprzedników, którzy cynicznie twierdzili, że „les bretons ce sont avant tout les francais" (Bretończycy to przede wszystkim Francuzi).

Język bretoński, wzbogacony o niemnikniome zapożyczenia z francuskiego, jest oczywiście językiem celtyckim — zatem genetycznie równie odległym od francuskiego jak np. polski od łaciny. Nieprawdą jest, jakoby mówiono nim tylko w bretońskich wioskach. Krzywdzące dla bogatej literatury bretońskiej jest twierdzenie, jakoby była ona „nieznacząca". „Historia Literatury Bretońskiej" prezentuje sylwetki i dorobek literacki kilkudziesięciu współczesnych poetów i pisarzy. Licząc skromnie, w Bretanii ukazuje się około pięćdziesięciu czasopism w języku bretońskim. Bez patosu i wielkich słów z poezji Ronana Huona i Stena Kidny przebija mądrość i dojrzałość polityczna, której można tylko pozazdrościć.

Tłumaczenie z bretońskiego i komentarz: Jerzy Wieluński.

Dywersja antypolska na Lubelszczyźnie w 1939 r.

Ciąg dalszy ze str. 3

ch cukierków i innych przedmiotów e zbierały, gdyż grożą one zatruem.

Im bardziej zbliżał się front, tym ardziej nasilały się zbrojne akty terrystyczne. Szczególnym przejawem ywersji było podpalenie w dniu 11 rześnia Biłgoraja. Przez miasto przeżdżał w tym czasie Jan Rzepecki, óźniejszy szef BIP Komendy Głów-j AK. Oto co zaobserwował:

„Całe miasteczko, z wyjątkiem niecznych domków na krańcach, stało ogniu. Na ulicach leżały rozgrzane poskręcane druty, opadłe ze spalo-ch słupów telefonicznych. Ludność egała oszalała z wiadrami do dwóch ajdujących się w środku miasteczka udzien, bijąc się o kolejność dostępu wody".

Przyczyny podpalenia Biłgoraja po-je się dwojakie. Według Wł. Steb-a, autora opracowania „Zarys dzia-ń wojennych armii „Kraków" w mpanii wrześniowej" i Jana Rzepe-iego — autora wspomnień „Mój rzesień", podających reakcję miej-owego proboszcza, podpalenie miasta kilku miejscach jednocześnie było viązane z aresztowaniem w południe września miejscowego nadleśniczeMuellera, pod zarzutem uprawia-a szpiegostwa. Dowodem była radio-acja nadawczo-odbiorcza, znaleziona jego mieszkaniu; ujawniono też, że sponował on w Biłgoraju siatką spółpracowników. Mueller został na-chmiast rozstrzelany przez policjan-w, a w godzinę później podpalono iasto.

Inne wersje tego wydarzenia mówią, Biłgoraj podpalono, by uniemożli-ć przejście przezeń cofającym się działom armii „Kraków". Faktem t, że wskutek pożaru sztab armii, ory miał zatrzymać się 11 września Biłgoraju, obrał miejsce postoju w bliskiej wsi Dąbrowica i rankiem września wyruszył do Zamościa. rzkiego posmaku całej sprawie do-e fakt, iż organizator siatki szpie-wskiej w Biłgoraju, ów nadleśniczy ueller, był kapitanem rezerwy WP chwilą wybuchu wojny powołano na szefa straży porządkowej w eście!

Zbliżanie się frontu uaktywniło tak-szpiegów niemieckich działających głębokim zapleczu na korzyść Luft-affe. Wyposażeni w radiostacje, na-owadzali oni eskadry hitlerowskie na ważniejsze cele. 6 września do-rł do Krasnobrodu ewakuujący się Warszawy prezydent Rzeczypospoli-j Ignacy Mościcki. Niemieccy szpiedzy atychmiast zlokalizowali miejsce jego obytu i jeszcze tego samego dnia sa-oloty hitlerowskie zbombardowały rasnobród. Są sugestie, że nalot na edlce w dniu 7 lutego oraz naloty Łuków w dniu 9 września były ywołane informacją niemieckich szpiegów, iż w tych miastach zatrzymało się Naczelne Dowództwo. Marian Sochański w swoim „Pamiętniku starosty zamojskiego" pisze:

„Wszyscy dziwiliśmy się, jak lotnictwo niemieckie było doskonale poinformowane o wszystkim. Np. w 24 godz. po zakwaterowaniu się dowództwa armii było bombardowanie Zamościa. Pociąg z amunicją, który podjechał pod stację kolejową — to samo. W nocy widoczne były światełka mrugające, jak gdyby ktoś dawał znaki alfabetem Morse'a. Toteż nie ulegało wątpliwości, że na tyłach uwija się masa szpiegów, ale jakaż siła ludzka była w stanie przeciwdziałać temu niebezpieczeństwu, w tych okropnych warunkach niesłychanego rozgardiaszu i ciągle przewalających się tłumów uchodźców. Przybycie do Zamościa dowództwa armii gen. Szyllinga powitane zostało ponownym bombardującym nalotem w dniu 12 września, aż święta ziemia jęczała. Znowu ponad 100 zabitych".

We Włodawie działała od początku września duża niemiecka radiostacja dywersyjna. Miała ona dobrą łączność, także depeszową, dobrze przygotowany personel. Według relacji radiotelegrafisty z polskiej stacji podsłuchowej, lotnicy niemieccy komunikowali się bez przerwy ze sobą na jednej fali, z dywersantami na drugiej, zaś z oddziałami macierzystymi na trzeciej. Szpiedzy dawali informacje lotnikom nie tylko przy pomocy radiostacji. W Kraśniku policja aresztowała 10 września osobnika, który „uporczywie rozkładał wzdłuż szosy Annopol—Kraśnik arkusze papieru".

Kiedy na Lubelszczyznę przeniosły się działania wojenne, dywersanci i szpiedzy śledzili ruchy polskiego wojska. 17 września ciężki nalot przeżyła wieś Stara Huta w rejonie Krasnobrodu. Znajdowała się tutaj liczna rzesza uchodźców cywilnych, także oddziały wojskowe, tabory. We wsi zatrzymał się Sztab Grupy Operacyjnej „Śląsk" z armii „Kraków". Niemal natychmiast po przybyciu tu sztabu nastąpił nalot Luftwaffe na wieś. W jego wyniku spłonęło siedem gospodarstw. Wśród uchodźców znaleziono dwóch mężczyzn i kobietę — dywersantów, którzy przez radio dali znać lotnictwu, że tu jest miejsce postoju dowództwa grupy polskiego wojska.

Z dywersantami mieli do czynienia na całym szlaku swego odwrotu żołnierze Grupy Operacyjnej „Jagmin" z armii „Kraków". 15 września dowódca grupy, gen. Sadowski, wydał rozkaz tajny nr 5 w „związku z działalnością niemieckich band dywersyjno-szpiegowskich":

„Niemieckie bandy dywersyjno-szpiegowskie działają na naszym przedpolu wśród ugrupowania wojska i na tyłach, w siedzibach sztabów i mp taborów. [...]

Przypuszczalne sposoby działania tych band.

1. Celem ustalenia mp naszych oddziałów na noc bandy zapalają małe ogniska obok wsi, w których kwaterują wojsko. W razie przytrzymywania osobnicy tłumaczą się, że pieką sobie kartofle. Często w ogóle nikogo przy takim ognisku się nie zastaje.

2. Celem wysadzenia desantu bandy przygotowują równy teren na uboczu, oznaczając go ogniskami w trójkącie lub świecąc latarkami.

3. Dla ustalenia trasy marszu ustalają białe znaki w formie rożnorodnych plam pierza, wykładania białych prześcieradeł, a nawet kładzenia na wozy z uciekinierami białych tobołków.

4. Pożary, które stale się widzi na przedpolu wieczorami, oznaczają miejsca zajęte przez wojska niemieckie, do których mają udawać się kurierzy z meldunkami i po rozkazy.

5. Ponadto szpiedzy niemieccy udają często zabłąkanych żołnierzy polskich, którzy proszą o podanie im mp jakiegoś oddziału".

Oddziały Wehrmachtu, wkraczające do wsi zamieszkałych przez ludność niemiecką, koloniści witali entuzjastycznie. W powiecie włodawskim mieszkańcy wsi Marianka i wsi Kamień w gminie Stary Brus, a także kilku wsi w gminie Urszulin założyli na tę okoliczność ukrywane wcześniej mundury hitlerowskie. Po wkroczeniu wojsk niemieckich dywersanci i szpiedzy pochodzący z Lubelszczyzny, doskonale zorientowani w lokalnych stosunkach i znający ludzi, stawali się kadrą miejscowych placówek gestapo, bezlitośnie wykorzystywali swą znajomość terenu i wiedzę o Polsce do realizacji zbrodniczych planów hitlerowskich. W czasie okupacji byli największym niebezpieczeństwem dla ruchu oporu.

Jak już wspomniano — o specyfice Lubelszczyzny wśród przedwojennych województw centralnych decydował fakt zamieszkiwania tu licznej grupy Ukraińców. Trudno ustalić dokładną ich liczbę. Podczas spisu w 1931 r. język ukraiński zadeklarowało jako ojczysty 63,1 tys. osób, a język ruski — 10,7 tys. Według raportów starostów na tajnej naradzie u wojewody lubelskiego, odbytej w 1935 r., Ukraińców miało być na Lubelszczyźnie 210 tys. W lutym 1939 r. na konferencji narodowościowej wojewoda podał, iż największe skupiska ludności ukraińskiej znajdowały się w powiatach: hrubieszowskim — 37,8 proc. ogółu mieszkańców powiatu (tj. 49,4 tys. osób), tomaszowskim — 33 proc. (42,4 tys.), włodawskim — 29,4 proc., chełmskim 23,1 proc., biłgorajskim — 17,9 proc. (18 tys. osób), bialskim — 15,6 proc., zamojskim — 7 proc. (10,4 tys. osób). Ukraińcy mieszkali też w powiecie krasnostawskim (gminy Czajki, Łopiennik, Siennica Różana), lubartowskim (Dratów) i radzyńskim (Szóstka).

Ludność ta przez całe międzywojenne 20-lecie manifestowała dążenie do samostanowienia i niepodległości, choć w zależności od poglądów politycznych widziała różne rozwiązania swojej przyszłości. Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy, wchodząca w skład KPP jako organizacja autonomiczna (w 1933 r. KPZU liczyła 4600 członków), żądała dla Ukraińców prawa do samookreślenia, aż do oderwania się od Polski. Ukraińska Partia Socjaldemokratyczna (USDP), organizacja prawicowo-socjalistyczna mająca wpływy w środowiskach robotniczych, domagała się niepodległości Ukrainy. Ukraińska Partia Socjalistyczno-Radykalna (USRP), działająca w środowisku chłopskim i inteligenckim, programowo dążyła do niezależnej republiki ukraińskiej. Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne (UNDO) było partią antyradziecką i antykomunistyczną, klerykalno-nacjonalistyczną. Jej cel to niepodległość Ukrainy, ale i próby porozumienia się z państwem polskim. Wreszcie Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), partia nielegalna, reprezentowała skrajny, bojowy nacjonalizm i faszyzm ukraiński. Wojskową przybudówką OUN była Ukraińska Organizacja Wojskowa (UWO).

W interesującym nas okresie decydujący wpływ na postawy i poglądy mniejszości ukraińskiej na Lubelszczyźnie wywierały dwie partie: OUN i UNDO. Partie te zdobyły duży wpływ w latach 1938—39, zwłaszcza wśród młodzieży ukraińskiej, wykorzystując m. in. tragiczny finał Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i Komunistycznego Związku Młodzieży Zachodniej Ukrainy, rozwiązanych w pierwszej połowie 1938 r. uchwałą Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej na podstawie prowokacyjnych oskarżeń fabrykowanych przez ekipę Stalina i Berii, a sprowadzających się do absurdalnego zrzutu, iż KPZU i KZMZU stały na usługach polskiej policji politycznej, tzw. „defy".

Nacjonaliści z OUN zwracali szczególną uwagę na wychowanie młodzieży w duchu własnych ideałów. Pracą wychowawczą obejmowano już dzieci 8-letnie ,tworząc dwie organizacje młodzieżowe: „Dorost" i „Junactwo". „Trzeba krwi — dajmy morze krwi! Trzeba terroru — uczyńmy go piekielnym" — głosiła propagandowa broszura OUN, wydana w 1929 r. we Lwowie nakładem „Biblioteki Nacjonalistycznej". „Nie wstydźmy się mordów, podpaleń, grabieży. W walce nie ma etyki!"

Zasadniczym punktem programu OUN było hasło budowy wielkiej, niezależnej, „samostyjnej" Ukrainy. OUN starała się wykazać, iż tylko ona walczy przeciwko władzy polskiej o spra-

PO BATALII O STATUT

Dokończenie ze str. 1

dy tajności wyborów. Niby obowiązywała ona dawniej, ale dotyczyła tylko wyborów takich gre-ów jak Komitet Centralny, komitety niższych opni, egzekutywy POP. Natomiast już ciała wy-nawcze komitetów powoływano w sposób jawy. Niesłychanie trudno było wówczas wystąpić zeciw najbardziej nawet niepopularnym, nierze-lnym kandydatom, bo jawność krępowała wy-rców. To samo dotyczyło wyboru I sekretarzy. wsze w instancjach wybierano ich jawnie. Trze-by było heroizmu, aby wystąpić publicznie, np. fatalnym czerwcu 1976 roku, po robotniczym oteście w Radomiu i Ursusie — przeciw po-stawaniu Edwarda Gierka na stanowisku I sek-tarza KC, choć cała partia wrzała przeciw niemu. e postawiono także veta na VIII Zjeździe prze-v jego kandydaturze.

Jawność głosowania krępowała także swobodę wyboru na niższe stanowiska partyjne. W ostatniej dekadzie doszło przecież w praktyce do mianowania wielu pierwszych sekretarzy instancji terenowych. Kandydatów przywożono „w teczkach", a podniesiony las rąk na plenum formalnie tylko akceptował z góry ustaloną decyzję. Nie trzeba udowadniać, jak wypaczało to pryncypia polityki kadrowej, jak tworzyło pseudodziałaczy lekceważących oddolną opinię i krytykę, a wpatrzonych jedynie w oblicza prominentów z wyższych szczebli i wykonujących wszelkie polecenia tych wysokich mocodawców.

Nowy statut PZPR ustala tajność wyborów zarówno do komitetów wszystkich szczebli, jak i do ich egzekutyw, zaś na szczeblu centralnym — do Biura Politycznego. W sposób tajny wybierani są odtąd I sekretarze KC i instancji terenowych i tzw. sekretarze resortowi.

Nie jestem w stanie nawet pobieżnie wyliczyć wszystkich zmian dokonanych na IX Zjeździe w statucie partii. Chcę tylko podkreślić, że zmiany te wykraczają poza piękne demokratyczne deklaracje, których nie brakowało np w statucie uchwalonym po przełomie grudniowym — na VI Zjeździe. Te innowacje, które tu omawiam, mają charakter norm instytucjonalnych. Obowiązują jako konkretne przepisy i mechanizmy działania. Wśród nich znajduje się takie absolutne novum jak trwałość mandatów wszystkich delegatów na zjazd partii, co oznacza możność zebrania się ich w każdym momencie dla „rozliczenia" Komitetu Centralnego i I sekretarza KC. Następnie zbiór zasad dotyczących roli i kompetencji aparatu partyjnego oraz przyjmowania ludzi do tego aparatu. Dotąd kwestie te regulowane były przez organa wykonawcze partii i według ich wygody. Obecnie rekrutacja do aparatu partyjnego ustalona jest przez sam zjazd partyjny i nie może podlegać koniunkturalnym retuszom. A więc „warunkiem powołania do tej pracy jest conajmniej pięcioletni staż partyjny i zawodowy oraz pełnienie funkcji partyjnych z wyboru przynajmniej przez jedną kadencję" (punkt 45 statutu). O co tu chodzi? — O to, aby do aparatu nie dostawali się różni politycznie i życiowo „nieopierzeni" ludzie, którzy nie mając umiejętności współżycia w zespołach pracowniczych, najłatwiej przyswajają sobie styl komenderowania, pokrzykiwania i zastępowania przez ten aparat instytucji administracyjnych i gospodarczych.

Okres gierkowski obfitował w tego rodzaju kariery: młodzieniec, jako tako podkształcony politycznie, wygadany, posłuszny, operatywny w robocie, szybko wskakiwał zaraz po dyplomie do aparatu, partyjnego, czasem jeszcze zahaczył o aparat młodzieżowy — i już ustawiał całe organizacje partyjne, a nawet nierzadko członków władz komitetu, wobec którego miał spełniać jedynie funkcje usługowo-organizatorskie. Teraz takich karier już nie będzie. Najpierw musisz pokazać, jaki jesteś w zawodzie, jak potrafisz współżyć z brygadą robotniczą, z kolektywem instytucji, jakie

Kamena str. 8

wę ukraińską. Jej hasło walki przeciwko „okupacji polskiej" stało się bardzo popularne wśród sporej części młodzieży, burżuazji i inteligencji o poglądach nacjonalistycznych. Dużego poparcia udzielał w tym OUN, kler greko-katolicki.

W chwili, gdy Niemcy stały się faszystowskie, OUN miała 30 tys. kadrowych członków, związanych żelazną dyscypliną. Był to liczący się partner dla hitlerowców. Nic więc dziwnego, że z chwilą dojścia Hitlera do władzy roztoczono „opiekę" nad OUN-owcami.

Już w sierpniu 1933 r. rozpoczęto w Gdańsku—Oliwie szkolenie kadr OUN, zwłaszcza grup dywersyjnych, sabotażowych i terrorystycznych. W miarę pogarszania się stosunków polsko-niemieckich te powiązania przybierały na intensywności. Niemcy, rozwijając V kolumnę w Polsce, w znacznej mierze oparli ją na nacjonalistach ukraińskich. Od 1938 r. w szkołach sabotażowo-dywersyjnych Abswery, m. in. nad jeziorem Quenz w pobliżu Wiedeń—Neustadt, szkolono ukraińskie kadry wywiadowcze, a we Wrocławiu policyjne. Organizowano także nacjonalistyczne pododdziały wojskowe pod dowództwem b. oficera armii austriackiej, płk. Romana Suszki. W miejscowości Bruock koło Wiednia zorganizowano dwa bataliony, liczące około 600 członków OUN. Intensywnie rozbudowywane na terenie Polski bojówki nacjonalistyczne miały ułatwić tej partii przejęcie władzy na Ukrainie Zachodniej. W lipcu 1937 r. działacz OUN Wasyl Sidor — „Szelest" założył na terenie północnego Wołynia pierwszy kadrowy oddział bojowy „Wowkiw" („Wilki"). Na Polesiu, w okolicach Janowa, w chutorze Ukraińca „Łosia" — Adamskiego powstała tzw. Sicz Poleska, licząca około 500 ludzi.

Bojówki nacjonalistyczne OUN już w sierpniu 1939 r. przystąpiły do ataków na urzędy i polską ludność cywilną, wykonując polecenie Abhwery, by zdezorganizować zaplecze. Rozmaite prowokacje na głębokich tyłach frontu miały również doprowadzić do zaostrzenia stosunków między ludnością polską a ukraińską. Plan ten powiódł się, niestety ,znakomicie. Przykłady można znaleźć choćby w wydawnictwie „Wieś polska 1939—45" gdzie przytacza się fakty mordowania ludności polskiej przez nacjonalistów ukraińskich w sierpniu 1939 r. na terenie powiatu hrubieszowskiego.

Owocowała w ten sposób zgubna polityka narodowościowa II Rzeczypospolitej, która na Lubelszczyźnie przybrała postać akcji rewindykacyjnej, nacelowanej na przymusowe nawracanie ludności prawosławnej, uważającej się za Polaków, na katolicyzm, jak również organicznie z nią związanej polonizacji ludności ukraińskiej. Działalność ta prowadzona była przez Komitet Koordynacyjny, specjalnie powołany do tego typu zadań 11 grudnia 1936 r. przez DOK II w Lublinie. Funkcje kierowników akcji Komitetu Koordynacyjnego na byłej Chełmszczyźnie pełnili kolejni dowódcy stacjonującej na Lubelszczyźnie 3 DP Legionów: gen. bryg. B. Olbrycht, a następnie płk M. Turkowski. W 1938 r. agendy Komitetu przejęte zostały przez Towarzystwo Rozwoju Ziem Wschodnich.

Komitet Koordynacyjny przyjął w swym działaniu zasadę, iż wyznanie jest całkowicie identyfikowane z narodowością. Oznaczało to, że wyznawcy religii rzymsko-katolickiej są Polakami. „Po wioskach powiatu chełmskiego — czytamy w wydawnictwie „Wieś polska" — jeździli oficerowie WP i „apostołowali" — kto nie zechce być Polakiem, tego pałami będziemy gnać do kościoła. Ukraińcy znaleźli się w głupiej sytuacji. Z jednej strony tajne agitacje przeciw polskości, z drugiej nagonka do kościoła i kto nie chciał iść, to mu na ruską Wielkanoc powybijali okna, przeto zaognila się nienawiść do wszystkiego, co polskie".

Władze polskie doszły do wniosku, że ludność prawosławna nie przyznaje się do polskości za namową duchowieństwa prawosławnego. Uznano cerkwie za główny element utrzymujący poczucie odrębności narodowej wśród Ukraińców i z wielką energią zabrano się do likwidacji parafii prawosławnych. Jak wynika z danych Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, do lipca 1938 r. rozebrano na terenie Lubelszczyzny 91 cerkwi, 10 kaplic oraz 26 prawosławnych domów modlitwy. Trzy cerkwie przekazano duchowieństwu katolickiemu , cztery kaplice przeznaczone zostały na kostnice, a cerkiew w Szczebrzeszynie pozostawiono w charakterze ruin zabytkowych. Na terenie DOK II pozostało po tej akcji 49 cerkwi parafialnych, tolerowanych przez władze jako etatowe, pięć cerkwi filialnych i jeden klasztor prawosławny.

Akcja wywołała sprzeciw. We wsi Małków w gminie Kryłów rozbierających cerkiew zaatakował tłum około 1000 osób. Osłaniający robotników oddział policji w sile 40 ludzi obrzucono kamieniami; aby rozpędzić tłum, policja musiała w bijatyce użyć pałek i motopompy. We wsi Żarniki w gminie Łaszczów miejscowy pop Chomeńko zebrał grupę młodzieży ukraińskiej uzbrojonej w widły, by rozpędzić ekipę rozbierającą cerkiew. Podczas rozbiórek cerkwi w Kosmowie, Gródku i Ślipczach w hrubieszowskim znaleziono karabiny z amunicją, broń białą i ukraińskie odezwy propagandowe. Odpowiedzią na rozbiórki świątyń było także utworzenie przez Ukraińców tzw. grup samoobrony, m. in. w Wasylowie i Poturzynie. Od kwietnia 1939 r. grupy te pełniły warty nocne, licząc się z atakami ze strony Polaków.

Ten czynny opór Ukraińców inspirowali popi: broniący swej wiary i stanu posiadania kościoła prawosławnego, umiejętnie grający na uczuciach nacjonalistycznych. We wsi Miętkie psalmista miejscowej cerkwi, Włodzimierz Samochwalenko, zorganizował chór cerkiewny, który pod pozorem nauki pieśni religijnych prowadził nauczanie nacjonalistycznych pieśni ukraińskich. Za uprawianie nacjonalistycznej propagandy pozbawiono popa Spirydona Łazukę funkcji pomocniczego kapelana w garnizonie zamojskim. We wsi Wasylów prawosławna Lidia Witer prowadziła potajemnie naukę języka ukraińskiego. We wsi Hostynne w hrubieszowskim otwarto w domu Mikołaja Tryla bibliotekę wydawnictw nacjonalistycznych.

Te poczynania nacjonalistów ukraińskich wpływały z kolei na postawę sanacyjnych organizacji, które domagały się od władz polskich zaostrzenia kursu wobec tej mniejszości. Błędne koło polityki narodowościowej zamykało się...

Wybuch wojny i zwycięstwo Niemców ludność ukraińska przyjęła z wyraźnym zadowoleniem. Oto opis wrześniowych dni we wsi Uhrynów w powiecie hrubieszowskim, zanotowany w wydawnictwie „Wieś polska":

„Polacy grupują się w Domu Ludowym na audycji radiowej. Dowiadujemy się przez radio o napadzie hitlerowców na nasz kraj. Polacy płaczą, a Ukraińcy się cieszą i podnoszą głowy. W pierwszym tygodniu już są dezerterzy ukraińscy. W drugim tygodniu przez wioskę przechodzą rozbitki wojska polskiego, Ukraińcy rozbrajają ich, zabierają broń, tabory, nawet zdzierają ubrania. Wśród Polaków straszne przygnębienie".

Bojówki OUN, inspirowane przez hitlerowskich agentów, czynnie pomagały Niemcom, organizując napady na żołnierzy polskich i ludność cywilną. O stosunku nacjonalistów do Niemców niech świadczy fakt, iż na powitanie wkraczających wojsk hitlerowskich w wielu miejscowościach ludność ukraińska budowała bramy triumfalne (m. in. w Hrubieszowie na ul. Zamoyskiej, w Szczebrzeszynie), a żołnierzy witała chlebem i solą. Klęska państwa polskiego sprawiła bowiem, że niemieckie obietnice o „samostyjnej" Ukrainie zdawały się być realne.

Sygnał do rozpoczęcia działalności dywersyjnej, sabotażowej i terrorystycznej przez nacjonalistyczne bojówki ukraińskie dało przybycie grupy agentów Abwehry, zrzuconych na spadochronach nad lasami zachodniego Polesia około 10 września. Jak pisze Wojciech Sulewski, kierownictwo „Siczy Poleskiej" nawiązało natychmiast kontakty z członkami OUN na zachodnim brzegu Bugu w powiecie włodawskim, tworząc w ten sposób nad rzeką pas terenu objęty dywersją. Bojówki OUN współpracowały aktywnie z 3 dywizją pancerną gen. G. von Schweppenburga z XIX Korpusu Pancernego gen. H. Guderiana, która z Brześcia skierowała się na południe, ku Włodawie. Już 16 września, gdy Niemcy zajęli Włodawę, Ukraińscy bojówkarze pojawili się z białymi opaskami na rękach i z bronią w ręku na ulicach miasta. OUN-owcy aresztowali wówczas wielu Polaków i Żydów, wielu z nich rozstrzelali. Działaniami grup ukraińskich nacjonalistów kierowała w powiecie włodawskim sieć agentów Abhwery, takich jak Wijtiuk—Pogonia, Romaszkiwski, Adamski, „Kary" i „Fedor".

Na Zamojszczyźnie bojówki dały o sobie znać z pełną siłą w drugiej połowie września, kiedy działania wojenne objęły tereny zamieszkałe przez ludność ukraińską. 19 września do dowództwa 13 Brygady Piechoty w Hrubieszowie przybiegł podoficer, by zameldować ,iż we wsi Czumów uzbrojeni chłopi zatrzymali polskiego oficera. Tym oficerem był mjr rez. Jan Prot, przed wojną dyrektor naczelny Państwowej Wytwórni Prochu w Pionkach. Na rozkaz dowódcy OK II gen. M. Smorawińskiego mjr Prot wycofywał się z 400 żołnierzami w kierunku na Szczebrzeszyn, w nocy z 18 na 19 września pozostając na nocleg we wsi Czumów, 8 km od Hrubieszowa. Rankiem do izby, w której spali Polacy, wdarło się około 10 uzbrojonych chłopów. Rozebrali oni żołnierzy polskich i postawili straże. Dowódca 13 BP wysłała po meldunku podoficera pluton ułanów do Czumowa, który uwolnił Prota bez walki i w odwecie spalił kilka gospodarstw.

19 września przez Telatyn przechodzili pojedyńczy żołnierze polscy cofający się przed Niemcami. Nacjonaliści rozbrajali ich, zabierając broń. 20 września do wsi wjechał patrol cyklistów z kawalerii dywizyjnej 13 BP, a bojówkarze myśląc, iż są to rozbitkowie, próbowali żołnierzom odebrać broń i rowery. Wywiązała się strzelanina. Tymczasem na pomoc cyklistom nadeszła kawaleria dywizyjna, a w chwilę później do walki wszedł polski batalion piechoty. W rezultacie kilku zostało wziętych do niewoli, część Telatyna spalono.

Kolejnym przykładem aktywności zbrojnej ukraińskich band dywersyjnych była akcja w czasie bitwy oddziałów Frontu Północnego o Tomaszów, znanej jako „druga bitwa tomaszowska". 21 września zaobserwowano rwanie się łączności sztabu 13 BP z 45 pułkiem piechoty na linii Hopkie — Pawłówka — szosa z Józefówki do Tomaszowa. Okazało się, że to dywersanci wycinali całe odcinki kabla, po kilkaset metrów. Zagrożono wówczas okolicznym wsiom represjami i skonfiskowano w nich rowery. Sabotaż ustał.

Bolesław Krzyżanowski w swojej książce „Kampania wrześniowa w oczach dowódcy plutonu" opisuje przemarsz przez Tyszowce: „W nocy na przód maszerującej kolumny wojska rzuciła się banda ukraińska, która zagarnęła kilka pierwszych wozów, ale została szybko odpędzona. Teraz zasiedli dalej w zaroślach i strzelali z karabinów maszynowych, nie czyniąc nam szkody. Paru schwytanych w kapuście nasi żołnierze wyciągnęli i zastrzelili na miejscu".

25 września przez okolice Rejowca wycofywał się na północ batalion moździerzy kpt. Józefa Cwynara. W nocy, na skraju wsi, żołnierze spotkali bandę OUN zbrojącą się w domu gminnym w karabiny. „Krzyczą, stój, ale nasi przewodnicy zbywają ich żartami". Wojsko przeszło bezpiecznie.

Nie zawsze jednak takie spotkania kończyły się dobrze dla polskich żołnierzy. Wojciech Białasiewicz w swojej pracy doktorskiej „Wrzesień 1939 r. na Zamojszczyźnie" przytacza licz-

Dokończenie na str. 10

masz predyspozycje do przewodzenia małej komórce partyjnej, a dopiero wtedy, jeśli bardzo dobrze zdasz egzamin na tym szczeblu, możesz zostać etatowym pracownikiem partyjnym. Jeżeli własna POP da ci pozytywną opinię!

Przy zachowaniu takiego trybu rekrutacji, inne postanowienia statutu wprowadzone doń na IX Zjeździe nabierają zasadniczego sensu: aparat ma pełnić wobec wybranych organów partyjnych rolę służebną albo: „Pracownicy polityczni mogą występować w imieniu komitetów i ich egzekutyw po uzyskaniu odpowiedniego upoważnienia". Dopiero wtedy! A więc nigdy samowolnie, według jakiegoś „widzimisię", co tak często w niedawnej przeszłości prowadziło do naruszania demokracji wewnątrzpartyjnej, do forsowania różnych błędnych decyzji, tłumienia oddolnych sygnałów niezadowolenia itp.

Batalia o nowy statut, prowadzona w partii praktycznie rzecz biorąc już od września ubiegłego roku, zakończyła się zatem przezwyciężeniem konserwatywnych hamulców demokratyzacji. Oczyszczono mechanizm funkcjonowania partii z reliktów epoki stalinowskiej. Stworzono naprawdę mocne gwarancje przed recydywą fatalnych błędów i tragedii narodowych. Władze wybieralne zyskały najwyższą rangę.

Stwarza też nowy statut PZPR podwaliny pod jedność partii wynikającej z poczucia wspólnoty jej celów, z dążenia do najlepszego służenia Polsce, a nie ze ślepego podporządkowania się woli wodza, poleceniom wyższych pięter kierowania. Taka jedność kiedyś za czasów kultu Józefa Stalina porównywana do granitowego monolitu, może być tylko pozorna. Pęka szybko podczas kryzysów politycznych. Taka jedność, będąca zarazem jednomyślnością, nie jest partii wcale potrzebna. Oznacza bowiem zanik twórczych myśli, stępienie różnicy poglądów, a więc zarazem wyciszenie krytyki, pozbywanie się ludzi mających własne zdanie — w sumie jest to z góry kopanie sobie grobu. Bo prowadzi to nieuchronnie do błędów i wypaczeń.

Partii potrzebna jest nie jednomyślność, nie ogólne potakiwanie, nie gromkie oklaski, ale myślenie. Stałe poszukiwanie nowych sposobów rozwiązywania problemów współczesności. Konieczna jest natomiast bezwzględna jedność po podjęciu uchwał. Można przed nimi skakać sobie do oczu, zgłaszać wszelkie uwagi i pomysły, zwalczać poglądy odmienne, kiedy jednak większość podejmie określoną decyzję — każdy członek partii ma święty obowiązek podporządkować się tej uchwale. Wcielać ją w życie.

Stara to, leninowska zasada centralizmu demokratycznego, która nie ma nic wspólnego z autokratyzmem epoki Gierka.

Przekreślając zgubne dla partii błędy i wynaturzenia, przywracając blask pojęciu: demokracja wewnątrzpartyjna. IX Zjazd nie pozwolił na zepchnięcie partii na pozycje socjaldemokratyczne, nie dopuścił do tolerowania w niej ugrupowań typu frakcyjnego, o odmiennych niż linia odnowy politycznej, niż marksizm-leninizm założeniach i własnych ośrodkach kierowniczych. Partia może być bowiem siłą przewodnią tylko jako organizacja czynu, a nie wielki klub dyskusyjny. Zdolność do czynu zapewnia zaś jedność wszystkich jej członków w realizacji programu IX Zjazdu.

W obecnej sytuacji nie ma więc żadnego uzasadnienia istnienie tu czy tam jakiegoś forum komunistów czy dla odmiany — struktury poziomej uprawiającej własne działki polityczne. To tylko może prowadzić do osłabienia partii, do podważania prestiżu jej nowego Komitetu Centralnego, wybranego w sposób najbardziej demokratyczny, złożonego z ludzi nowych, nie skażonych udziałem w błędach minionego okresu. Komitetu, jak się to już zwykło mówić robotniczo-chłopsko-wojskowego.

Po batalii o statut i nowy program partii, po zakończeniu obrad IX Zjazdu, jego delegatów — jak powiedział wówczas Stanisław Kania — za drzwiami Sali Kongresowej czekała niezwykle trudna rzeczywistość. Składają się na nią zorganizowane w wielu miastach marsze głodowe, stale wybuchające strajki, próby organizowania niebezpiecznych „marszów gwieździstych" itp. Ciężka sytuacja żywnościowa, ludzka niecierpliwość i zmęczenie, nieudolność administracji — wszystko to stanowi wodę na młyn przeciwników partii i socjalizmu.

Batalia nie skończyła się więc w momencie zamknięcia Zjazdu. Ona trwa i wymaga od każdego członka PZPR zdecydowanego, osobistego zaangażowania się za linią odnowy, ale przeciw siłom destrukcji, anarchii i bezmyślności. Za linią porozumienia i dialogu, zwłaszcza z wielkim związkiem zawodowym „Solidarność" ale jednocześnie do walki przeciw demagogom z tego związku, prowadzącym go na tory zwalczania partii, łamania socjalistycznego prawa, na drogę konfrontacji między Polakami.

Do partii wstępuje się dobrowolnie. Dokonując takiego wyboru drogi życiowej, trzeba mieć pełną świadomość obowiązku komunisty: wcielania w życie programu partii i bezwzględnego przestrzegania wszystkich postanowień jej statutu. Żadne uniki w tej dziedzinie nie mogą być rozgrzeszane.

Lech Winiarski

Z braku cech przestępstwa...

Dokończenie ze str. 1

wód, tej newralgicznej dziedziny biologicznego bytowania człowieka, przypadły po połowie wydziałom rolnictwa oraz wydziałom gospodarki terenowej i ochrony środowiska. W rezultacie, te pierwsze zajmują się rolniczymi aspektami gospodarki wodnej, ale dla zachowania pozorów, podporządkowano im wojewódzkich konserwatorów przyrody. Z kolei wszelka problematyka ochrony wód przed skażeniami przypadła wydziałom gospodarki terenowej i ochrony środowiska. Rzecz polega na tym, że sama ochroną przyrody w takim wydziale jest tylko jednym z wycinków jego licznych obowiązków oraz kompetencji i tylko dwie osoby zajmują się tą problematyką, m. in. badaniami skarg, redagowaniem informacji, projektowaniem planów ochrony środowiska, planów inwestycyjnych, czynnościami związanymi z rozprawami o ukaranie, wyliczaniem opłat za korzystanie z wód itp. Taki zakres obowiązków, rzecz jasna, przekracza siły dwóch ludzi, toteż korzystają oni z usług jeszcze jednego ogniwa, jakim są wojewódzkie Ośrodki Badań i Kontroli Środowiska, podporządkowane temu wydziałowi i liczące od 20 do 40 pracowników. Sporo do powiedzenia ma także wojewódzkie biuro planowania przestrzennego, uprawnione do zatwierdzania projektowanych inwestycji związanych z ochroną środowiska, jak oczyszczalni ścieków, nowych wysypisk komunalnych i przemysłowych, czy, jak to w przypadku Lubelskiego Zagłębia Węglowego — ujęć słonej wody

Takie poćwiartowanie kompetencji nie mogło nie wpłynąć hamująco na sprawne funkcjonowanie przepisów ustawy o ochronie środowiska, nawet w jej zmienionym później kształcie z 31 stycznia 1980 roku: na rychliwość decyzji i koordynację działań. Nie podobał się taki podział obowiązków wielu władzom naszych województw, toteż niektórym z nich udało się uratować od likwidacji dawne wydziały gospodarki wodnej i ochrony środowiska. Po przeszło sześciu latach praktycznego potwierdzenia bezcelowości rozdzielenia kompetencji ochroniarskich minister Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska wystosował przed kilkoma miesiącami pismo do wojewodów,

Fot. W. Stępień

zezwalając im na powoływanie wydziałów ochrony środowiska, w których wreszcie skupić można wszystkie sprawy z tym tematem związane.

Ale ta decyzja nie może przywrócić stanu sprzed 1974 roku, kiedy to jednemu wydziałowi wojewódzkiemu podlegały duże obszary administracyjne. W kilkudziesięciu maciupeńkich województwach ludzie odpowiedzialni za ochronę środowiska mają wycinkowe spojrzenie na sprawę. Oto jedna rzeka przepływa niekiedy przez teren 4—5 województw. Tamtejsze Ośrodki Badań i Kontroli Środowiska kilka razy w roku dokonują analizy wód tej rzeki tylko na swoim administracyjnym odcinku. Tak pokawałkowany obraz rzeki, a niekiedy jednego zbiornika wodnego, trzeba w centralach ponownie zlepiać w całość. Weźmy dla przykładu czystość Wisły. Bada ją wiele ośrodków wojewódzkich na swoich terenach. Odcinek lubelski jest już u swego administracyjnego początku tak zanieczyszczony, że nie mieści się w I i II grupie czystości wód, co się dzieje za sprawą zakładów przemysłowych województwa krakowskiego oraz tarnobrzeskiej kopalni siarki.

Pozostawmy jednak nonsensy terytorialno-kompetencyjne. Ważniejsze są możliwości przeciwdziałania niszczeniu środowiska, niestety, coraz mniejsze przy coraz większej agresywności przemysłu. Posłużę się paroma przykładami z województwa lubelskiego. Zacząć trzeba od stwierdzenia, że wszelkie restrykcje finansowe, jakimi dysponuje ustawa o ochronie środowiska, niewiele dają, bo powodują jedynie przepływ złotówek z jednego państwowego konta na drugie. Co prawda niedawno weszło w życie zarządzenie, wedle którego fundusze z kar nie będą rozpływały się w budżetach administracji, lecz wpływały na specjalne fundusze ochrony. Tak czy owak są to kwoty znikome w stosunku do potrzeb, a co ważniejsze, kary niczego nie załatwiają:

Potrzebne są inwestycje, a te wloką się w nieskończoność, często w spadku poprzednich dziesięciolatek. W województwie lubelskim do najbardziej spóźnionych i przewlekłych należą budowy oczyszczalni, zarówno miejskich jak też przemysłowych. Oczyszczalnia ścieków Lublina, budowana w Hajdowie od lat już kilku, jest spóźniona w stosunku do harmonogramu o około trzy lata, a np. przerób bieżącego roku, jak dotąd, wynosi zaledwie 24,6 proc. Oczyszczalnia dla Kraśnika posunęła się w tym roku o 28 proc., oczyszczalnia w Poniatowej o 26,6 proc. Nieco lepiej postępują prace przy oczyszczalniach przemysłowych: w Kraśniku (fabryka łożysk), gdzie wykorzystano w br. ponad 90 proc. planu finansowego, 54 proc. na oczyszczalni dla zakładów futrzarskich w Kurowie, oraz 44 proc. dla odlewni żeliwa w Lublinie.

Zupełnie mgławicowo wyglądają obecnie te sprawy w skali Lubelskiego Zagłębia Węglowego, zarówno w kontekście utylizacji ścieków sanitarnych, jak i przemysłowych. Te pierwsze miały być oczyszczone przy każdej z kopalń LZW, natomiast dla całej dzielnicy składowo-przymysłowej oraz dla Łecznej miała stanąć wspólna oczyszczalnia w Puchaczowie, skąd oczyszczone ścieki użyźniałyby łąki kanału Wieprz-Krzna. Idea ta zawisła obecnie w próżni. Podobnie rzecz się ma z tzw. wodami dołowymi (bardzo zasolonymi), które trzeba będzie wydobywać w trakcie eksploatacji kopalń. Do dziś chyba aktualna jest idea gromadzenia jej w osobnym zbiorniku i powolnego upuszczania do Wieprza, ale te wszystkie warianty, włącznie z problemem hałd, stały się prawie nieważne, bo tak odległe w związku z niejasnym w ogóle losem Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

Dobrym przykładem macoszego stosunku do sprawy ochrony środowiska jest budowa odlewni żeliwa koło Lublina. Na jej detale czeka cały krajowy przemysł maszynowy, a kilkuletnie opóźnienie tej inwestycji odsuwa w zupełny cień zapomnienia sprawę składowiska odpadów formierskich, wiadomo, jak bardzo toksycznych. Nie ma miejsca na wysypisko, są natomiast dwie propozycje jego lokalizacji,: Roktino, na terenie obecnej kopalni piasku, która będzie jednak eksploatowana jeszcze do 1984 roku, oraz teren „gdzieś" koło Ostrowa. Ponieważ planuje się, słusznie zresztą, urządzenie wspólnego wysypiska dla odlewni i dla WSK w Świdniku, to łączna masa odpadów wynosić będzie 270 tysięcy metrów sześciennych rocznie. Tak gigantyczne wysypisko, mimo strefy ochronnej, nie pozostanie z czasem bez wpływu na rozległą okolicę.

Tak praktycznie wygląda realizacja prawa inwestycyjnego, wedle którego nie można rozpoczynać wznoszenia obiektu przemysłowego bez równoczesnych inwestycji oczyszczających. Niemożliwością „fizyczną" była też realizacja ustawy o tzw. prawie wodnym, która dawała starym zakładom cztery lata na wykonanie urządzeń oczyszczających, bez których funkcjonują już od dziesiątków lat, z podwórka lubelskiego takim, jak elektrownia, zakłady ziemniaczane czy lokomotywownia. Zarządzenie powstało na papierze; nie było i nie ma tzw. mocy przerobowych, pieniędzy i materiałów. Wyniki badań środowiska, alarmy o gwałtownych skażeniach, dochodzenia prokuratorskie czy orzeczenia kolegiów muszą więc kończyć się sakramentalną formułą: umorzono z braku cech przestępstwa. Nie ma winnych, są tylko poszkodowani.

Taka jest codzienna rzeczywistość administracyjno-ustawowo-prawna kompleksu spraw związanych z obroną środowiska biologicznego. W podobnej sytuacji znajduje się nauka, która zgłasza potrzebę rozległych badań nad już istniejącymi, rozpoznanymi i przewidywanymi zagrożeniami. Chociaż wiele placówek prowadzi od dawna różne prace w tej dziedzinie, to jednak praktyczny zakres tych badań jest daleko niewystarczający. Jest to niewątpliwie rezultat niedostatecznego zespolenia nauki z praktyką, ale też i braku środków na prace badawcze.

Jesienią ub. roku Państwowa Rada Ochrony zaproponowała 31 instytutom naukowym listę tematów badawczych. Znalazły się tam m. in propozycje badań zjawisk i procesów zachodzących w warunkach intensywnej ingerencji człowieka. Spo-

Fot. W. Stępień

śród 31 adresatów odpowiedziało kilkunastu. W wielu przypadkach wyrażono pełne „poparcie" dla realizacji tego programu, jednak bez deklarowania własnego udziału, głównie z braku środków finansowych. Listę tematów rozszerzyli dodatkowo wojewódzcy konserwatorzy przyrody i pracownicy naukowi parków narodowych. Ich propozycje także pozostają w większości bez odpowiedzi. Nie ma chętnych np. na temat: Wszechstronne zbadanie zmian zachodzących w przyrodzie pod wpływem inwestycji urbanistycznych i produkcyjnych. Nikt nie chce podjąć się ustalenia kryteriów lokalizacji i eksploatacji wielkich ferm hodowlanych. Nie ma chętnych do wydania naukowego orzeczenia o wpływach związku siarki z elektrowni Turów oraz elektrowni położonych na terytorium NRD na florę i faunę; płynów i gazów kieleckich cementowni na Świętokrzyski Park Narodowy; fal elektromagnetycznych z przekaźników TV w Karkonoskim i Świętokrzyskim Parku Narodowym oraz ze stacji satelitarnej w Psarach.

Czy tylko z braku pieniędzy na badania? A może z powodu dramatycznej oczywistości konkluzji, do jakich musieliby nieuchronnie dojść naukowcy?

Henryk Pająk

Dywersja antypolska na Lubelszczyźnie w 1939 r.

Dokończenie ze str. 9

ne przykłady skrytobójczych mordów dokonanych na żołnierzach polskich przez nacjonalistów ukraińskich, obrzucających granatami śpiących żołnierzy lub likwidujących zabłąkanych i zmęczonych.

Zabójstw dokonywano także na Podlasiu — w Ratajewiczach, Kodeńcu — gdzie bandy OUN mordowały oficerów polskich; długo po wojnie wykrywano w stodołach i na polach tych wsi szczątki naszych żołnierzy. Liczne były przypadki likwidacji żołnierzy po bitwie pod Wytycznem i Pleszowolą 1 października 1939 r. Bandy nacjonalistyczne spychały rozbite oddziały na bagna, tu zabijano oficerów, a szeregowych ograbiano, albo rozstrzeliwano. Przypadki mordowania wojskowych notowano także w Wólce Wytyckiej ,Kołaczach, Osowie, Laskach Burskich, Lubieniu, Macoszynie, Horostycie, Piszczacu.

Na Podlasiu z bojówkami nacjonalistów ukraińskich mieli do czynienia szczególnie żołnierze SGO „Polesie". Grupa przechodziła z Polesia na Lubelszczyznę przez Bug w okolicach Włodawy, jedna z jej kolumn — przez most kolejowy pod Orchówkiem, który, lekko uszkodzony, naprawiali saperzy dowodzeni przez płk. Schuberta. W czasie pracy zostali oni napadnięci przez bojówkę z Orchówka i w wyniku ostrzału kilku saperów zginęło. Dywersantów jednak złapano i rozstrzelano, a ich domy, położone w pobliżu mostu, spalono. Terroryści ostrzeliwali także tabory SGO, napadali na kolumny sanitarne. W takich okolicznościach zginął np. ppłk M. Skrzynecki, dowódca 7 pułku ułanów lubelskich, zabity wraz z pielęgniarzami granatem, który dywersant wrzucił na wóz sanitarny. Najwięcej OUN-owskich terrorystów zgromadziło się pod koniec września w lasach koło wsi Rusiły i Ratajewicze. Oddziały SGO „Polesie" interweniowały energicznie: rozpraszały bojówki OUN, rozstrzeliwały schwytanych z bronią w ręku dywersantów.

W drugiej połowie września na Lubelszczyznę przeniknęli — zgodnie z zaleceniem Głównego Prowydu OUN — przywódcy nacjonalistyczni z Wołynia oraz zbrojne oddziały dywersyjne OUN, wycofując się przed wkraczającymi na Zachodnią Ukrainę oddziałami Armii Radzieckiej. Wraz z okupacją Polski rozpoczynał się okres rozbudowy OUN-owskiego aparatu. Utworzono policję ukraińską, wiele innych instytucji, nawet własne organa sprawiedliwości. Inny to już jednak temat.

Stanisław Jadczak

Kamena str. 10

POCZTA LITERACKA

Jarosław Ł. Bydgoszcz. Radzę: musi Pan zmienić kolegę, albo uodpornić swój charakter na pochwały. Kolega „stwierdził, że wiersz jest całkiem dobry" — pisze Pan i dodaje: „Co prawda miałem wątpliwości, ale chciałem w to wierzyć. Nie wiem jednak, czy zajmując się tym, nie tracę niepotrzebnie czasu". Podzielam Pana niepokój. Uspokaja mnie jednak Pana postawa w czasie trwania roku akademickiego, zapewnia Pan bowiem: „nie miałem czasu by skupić się nad jakąś działalnością oprócz nauki, ale na początku wakacji zabrałem się do pisania wierszy". Nie szkodzi, jeżeli odczuwa Pan wewnętrzną potrzebę, niech Pan pisze, ale nich Pan swoich utworów na razie koledze, ani komuś innemu nie pokazuje. Ja sam najbardziej cenię sobie przyjaźń krytyczną, a pochwały ze strony przyjaciół, chociaż mile łechcą miłość własną, przyjmuję niezwykle ostrożnie i nieufnie. Posiada Pan zdolność samoanalizy oraz oceny otaczającego świata, może więc proza byłaby dla Pana sposobniejsza?

Krzysztof Z. Zambrów. Jest Pan studentem Wydziału Ekonomiki Produkcji Uniwersytetu Gdańskiego i skarży się: „ekonomika nie jest moim powołaniem. A co nim jest — nie wiem. Dlatego też bardzo Was proszę, abyście pomogli mi w moim życiowym samookreśleniu się... Czasem rozjarzy się w umyśle moim i sercu iskierka nadziei, że moim przeznaczeniem mogłoby być pisanie — wierszy, prozy, podań czy ogłoszeń. I wtedy nawet piszę!? Jednak prawie zawsze traktuję to moje pisanie raczej tak... z przymrużeniem oka. Dlatego proszę Was — powiedzcie mi, czy otworzyć oko całkowicie i zupełnie, i spojrzeć poważnie na moje pisanie, i zająć się tym; czy zupełnie i całkowicie zamknąć na to oko, zapomnieć o poetyckich inklinacjach, nic nie pisać lub tylko podania i ogłoszenia?".

Za adres dziękujemy, ale nasza księgowość, wbrew Pańskim oczekiwaniom, na razie potrzebować go nie będzie. Za honorarium niech wystarczą życzliwe rady, o które Pan prosi. Skoro się Pan już poświęcił i raczył zająć miejsce w uniwersytecie, którego odmówiono komuś, kto, być może, wiedziałby, po co poszedł na uczelnię, niechże Pan przynajmniej wzoruje się na koledze Jarosławie Ł., który także jest studentem. Radziłbym Panu „otworzyć oko całkowicie i zupełnie", ale na małą chwilę, aby lepiej przyjrzeć się swojej twórczości, a następnie co prędzej je zamknąć i „zapomnieć o poetyckich inklinacjach, nic nie pisać lub tylko podania i ogłoszenia". Niestety, nie było mi dane poznać wzorów pisanych przez Pana podań i ogłoszeń, a w naszych czasach jest to szczególnie wielka sztuka i umiejętność, jaką osiąga się pełniej po ukończonych studiach. Posiada Pan jednak rzadką, dobrą cechę, potrafi Pan pośmiać się z samego siebie, więc chyba nie wszystko stracone? W wierszach spotyka się stylistykę utworów satyrycznych, może warto to sobie uświadomić i na tym polu „się wypisać"? W refleksyjnym wierszu „Zmiana" znalazłem kilka całkiem dobrych linijek i skojarzeń. Za parę lat, może po skończeniu studiów, niech Pan znowu przyśle wiersze.

Andrzej B. Łysolaje, woj. lubelskie. Nie, szansy na wydrukowanie Pan nie ma. To odpowiedź na konkretne pytanie. Jest Pan jeszcze przed maturą, to najwłaściwszy czas na poezjowanie. „Swoje przeżycia oraz pesymistyczne spojrzenie na życie umieszczam w wątku tych wierszy" — pisze Pan. Nie tylko pesymizm spotkałem w tych utworach, także sporo witalności, optymizmu i pięknych uczuć. Czy ma Pan nadal pisać? Czemu nie, skoro jest to Pańską wewnętrzną potrzebą. Wypowiedzenie siebie dla samego siebie jest pożyteczne, a i miłej może się podobać.

Barbara Dudzińska. Prosimy o podanie adresu.

TJ

„Za drzwiami prawd codziennych"

ODEJŚCIE od liryki zwierzeń, które przepowiadały już manifesty ekspresjonistów, daje się obecnie wyraźnie zaobserwować w naszej poezji, szczególnie tej najmłodszej. Poeci wstydzą się intymnej, ciepłej tonacji emocjonalnej, zwykłych przeżyć. Dlaczego? Czyżby postawa ironicznego dystansu wobec świata musiała kolidować z „naiwnym sentymentalizmem".

Szybko okazało się, że obserwowana po okresie nowofalowej ascezy jarmarczna błazenada oraz tandetny iluzjonizm nie są w stanie zastąpić metafizyki, nawet tej w najelementarniejszym wymiarze — metafizyki szarej codzienności. Właśnie ową metafizykę codzienności w swoim najnowszym, czwartym w dotychczasowym dorobku tomiku poetyckim, poddaje zabiegom sakralizującym Henryk Makarski.

„Szczęście nie istnieje. Pozostaje wobec tego próbować być szczęśliwym bez niego..." — oświadczył kiedyś filozof amerykański J. Lewis. Tej egzystencjalistycznej koncepcji zdaje się hołdować w „Schodach bez końca" także H. Makarski. W pogoni za okruchami tzw. szczęścia zanurza się autor w strumień powszedniości. Obszar jego lirycznych penetracji to codzienne, banalne rozmowy, zwyczajne radości, pospolite troski. Z tego notatnika lirycznego rejestrującego „śpiew szarego dnia" i „serca zwykłych rzeczy... w całodziennym rzeczy truchcie... utartym szlakiem/ starych przyzwyczajeń" spośród „rozlewiska naszych powszednich narzekań" wynurza się „kosmos codzienności", „potęga szarego dnia" — determinowane nieuchronną koleją rzeczy.

Przy pozornej bezkonfliktowości nie unika poeta odwiecznych kwestii etycznych i paradoksów egzystencjalnych. Zmaganie się z materią słowną nie koliduje u Makarskiego z publicystycznymi akcentami społecznymi („Drażniąc dłonie związane. Gdy uciekają szczury"). Z pasją atakuje bierną, konsumpcyjną część społeczeństwa „stada/ posłusznie ustawione czwórki...", z chłodną ironią obnaża stereotypy neomieszczańskie („Marzenia marzenia", str. 33).

Patrząc wstecz, szuka Makarski swojego miejsca w krajobrazie słów, zastanawia się, czym jest poezja, pyta o racje jej istnienia („Wierzę"). Pomimo, że „słowa zdążyły stracić na wartości... zanim ogłuchniemy na wszystko", spiera się poeta o indywidualną „prawdę", przeciwstawioną wszechobecnemu „kłamstwu". Interesuje go przede wszystkim człowiek osobny, walczący o własną suwerenność. W imię godnej suwerenności naszego życia duchowego zmaga się z rzeczywistością, która tej suwerenności nieustannie zaprzecza. A zachować godność, to zachować konsekwentną skalę wartości: „...muszę być wierny sobie/ a nie ideałom" („Ach, elegancja!", str. 11).

Ten swoisty, szary traktat codzienny prezentuje sobą lirykę intymną, stonowaną, z dość wyraźnymi pierwiastkami klasycyzującymi. Oczywiście jest to klasycyzm innego wymiaru, niż klasycyzm Rymkiewicza czy Herberta. Wsłuchując się głębiej we frazę Makarskiego, bez trudu można wyłowić odległe echa. T. Nowaka („Na łące moich pragnień", „Powędrujemy do źródeł", „Szalona gonitwa symboli"). Autor wystrzega się wszelkich upiększeń, będących elementami wielkiego procesu konwencjonalizującego. Sprzyja temu oszczędna metafora, bez nadmiernych spiętrzeń i barokowej inscenizacji, bez fajerwerków stylistycznych i pseudoerudycyjnej ekwilibrystyki.

Makarski potrafi cieszyć się banalną codziennością. Niemniej miejscami odnosi się wrażenie, że jest to wymuszony, złudny spokój. Gdzieś „za drzwiami prawd codziennych" czai się uniwersalny dramat człowieczy, pulsujący pod powierzchnią spokoju klasycznej niemalże frazy. Przez oswojoną codzienność przeziera nieokreślony, ale w pełni uświadamiany niepokój — widmo nieśmiertelnej samotności nieodwołalnie zacieśniającej swój widnokrąg. W lustrze samotności, pośród obszarów znużenia i zwątpienia, buntu i przymusowej aprobaty budzą się „chwasty pragnień". Nierzadko płaskie i śmieszne, lecz częściej tragiczne — wiejące pustką uwikłań w codzienności:

nie można w nieskończoność wspinać się
po schodach
których najwyższy stopień
wrywa się w przepaść
(„Schody bez końca", str. 52).

Henryk Makarski, jak każdy dojrzały poeta, wie, że istnieją sprawy, których człowiek sam w sobie nigdy nie rozstrzygnie. Niemniej ten trud daremnych usiłowań jest naszym obowiązkiem. W szarości codziennej, w dzisiejszym półmroku moralnym, w jakim żyje autor, w jakim wszyscy żyjemy, tli się ciągle jeszcze ognik nadziei:

na dnie studni stoję i z nadzieją
patrzę w niebo błękitnego światła
(„A ja śnię śnię śnię i śnię", str. 30).

Marek T. Barański

Henryk Makarski — „Schody bez końca", Wydawnictwo Lubelskie 1980.

LISTY DO KAMENY

„PRZYGODA Z LEICĄ"

Szanowny Panie Redaktorze, ze zdziwieniem i prawdziwą przykrością przeczytałem w Pańskim piśmie (nr 13 z dn. 21 czerwca 1981) mój artykuł zatytułowany przeze mnie „Moja kazimierska przygoda" pod zmienionym tytułem „Przygoda z Leicą". Egzemplarz autorski nadszedł w czasie mojej nieobecności w Warszawie.

Nieznany mi z imienia i nazwiska Pański współpracownik wprowadził do mojego tekstu istotne i daleko idące zmiany i skróty bez mojej wiedzy i aprobaty. Tekst ten nie został mi przesłany do autoryzacji. Nadmieniam ponadto, że artykuł napisałem na pisemną prośbę Redakcji. Już z pierwszego mojego zdania: „Znałem Kazimierz Skoczylasa, Pruszkowskiego i wielu innych...", Czytelnik dowiedział się że: „znałem Kazimierza Skoczylasa, Pruszkowskiego i wielu innych...", a przecież chodziło o to, że znałem Kazimierz z prac, z dzieł tych artystów (notabene Skoczylas miał na imię Władysław). W trzecim i czwartym akapicie zmieniono zupełnie styl i charakter narracji, niszcząc w ten sposób wyrażony przeze mnie emocjonalny stosunek do Kazimierza, obrazowość i klimat mojego opisu.

Tego rodzaju niedopuszczalną ingerencję można zresztą odnaleźć niemal w każdym z trzynastu akapitów artykułu. Nie wiadomo dlaczego słowo „Wisła" zamieniło się na „wielką rzekę" (koniec IV-go akapitu), „uroda" na „nastrój" (początek VI-go akapitu) itd. itd. O drobnych zmianach stylistycznych nie wspominam.

Załączam pełny spis przeinaczeń popełnionych przez Pańskiego współpracownika. Uważam, że przekroczył on i naruszył granice dobrych obyczajów dziennikarskich.

W związku z powyższym proszę o opublikowanie w całości tego listu w Pańskim piśmie. Uważam, że należy poinformować czytelników, że przeczytany przez nich tekst jest tylko częściowo mojego autorstwa.

Z poważaniem

Benedykt J. Dorys

Kwestia przekraczalności granic dobrych obyczajów dziennikarskich bywa — gdy idzie o adiustację — rzeczą dosyć względną. Jeśli wszak p. Benedykt J. Dorys poczuł się dotknięty w swych odczuciach i prawach autorskich redakcyjnym opracowaniem jego artykułu, wyrażamy ubolewanie, gdyż taki skutek nie leżał w naszych intencjach. Sformułowanie: „Znałem Kazimierza Skoczylasa" itd. to już wina korekty, za co Autora i Czytelników przepraszamy.

Red.

NIEZNANY WIERSZ CZECHOWICZA

Szanowny Panie Redaktorze! Przeglądając rocznik „Ziemi Lubelskiej" z 1928 roku, natrafiłam w numerze 22 z 22 stycznia na wiersz Józefa Czechowicza „Święta". Sprawdzałam w „Wierszach" Czechowicza opublikowanych przez Wydawnictwo Lubelskie w roku 1963: nie ma go nawet w dziale „Wiersze z czasopism i z rękopisów", tak więc „Święta" można uznać za wiersz nieznany. Może warto podać jego tekst. Brzmi on:

ŚWIĘTA

Jeżdżę do domu w święta
I zastaję mamę —
Wszystko, co mnie pamięta
Piosenki nawet te same

Te same w szafie książki
W szufladach moje wiersze
I siostrzyne wstążki
Listy te „najpierwsze"

Czemuś dziwnie weseli
Ten powrót dawnych rzeczy
Jakby anieli przed rajem
Zgasili płomień swych mieczy.

Warto też zwrócić uwagę na pewien szczegół. Ponieważ wszystkie wersy dwóch pierwszych strof się rymują, zachodzi przypuszczenie, że tak też została pomyślana strofa trzecia, czyli przedostatni jej wers został zniekształcony przez zecera i zamiast „Jakby anieli przed rajem" powinno być „Jakby przed rajem anieli". Dodać jeszcze trzeba, że wiersz, mimo że nie wykazuje cech dojrzałej poezji Czechowicza, do wczesnych juweniliów zaliczony być nie może ze względu na wymowę dat: tomik „Kamień" został wydany w roku 1927, rok wcześniej, i utworu tego nie zawierał.

Przypuszczam, że zechce Pan Redaktor zrobić uprzejmość bibliografom i tych kilka słów zamieścić, za co z góry w ich i własnym imieniu dziękuję.

Zofia Mikulska
Lublin

KRONIKA

■ Dotarły do Lublina lekarstwa zebrane przez Polonię francuską w ramach akcji pomocy dla rodzinnego kraju, natomiast zachodnioniemiecki „Caritas" przekazał naszym szpitalom drobny sprzęt medyczny.

■ Na łatwopalnym nakryciu prywatnego magazynu benzyny, ulokowanego w ziemiance na peryferiach Lublina, spłonął 19-letni chłopiec, a próbujący go ratować krewny doznał ciężkich poparzeń. Można przypuszczać, że paliwo „przeciekło" tam z pobliskiej bocznicy CPN. Miejmy nadzieję, że ten tragiczny wypadek przyhamuje nieco skłonności do gromadzenia benzyny w piwnicach bloków mieszkalnych.

■ W związku z rozbiórką części tzw. oficyny popijarskiej z XVII w. pod pretekstem jej fatalnego stanu technicznego, informujemy, że zgodę na wyburzenie wydał Wojewódzki Konserwator Zabytków w Lublinie już w październiku 1978 r. Przez kilkanaście miesięcy od tego momentu budynek był nadal użytkowany — więc może nie znajdował się w stanie tak opłakanym, jak to stwierdzili eksperci?!

■ W połowie sierpnia, w nocy z przedwdytacia wzniecono pożar w budynku hotelu „Almaturu" w Lublinie, w którym spało akurat niemal 200 osób. Ogień ugaszono w porę, przed zetknięciem się płomieni z gazem wydzielającym się z kuchenek na wszystkich piętrach, a „uwolnionym" niewątpliwie przez podpalaczy.

■ Perspektywy dalszej i koniecznej rewaloryzacji zamojskiego Starego Miasta przedstawiają się kiepsko, jeśli nie dramatycznie. Istnieją realne obawy, że całe przedsięwzięcie znów zakończy się połowicznie. Tamtejszy oddział PKZ trzeszczy w posadach, obserwuje się brak społecznego poparcia dla programu ratowania zabytków.

■ Tymczasem lublinianie mogą odetchnąć z ulgą: nie ma mowy o ekspansji skansenu ze Stawinka i wznoszeniu tam domków jednorodzinnych które wymarzyli sobie nasi dworzanie króla Ubu! Władzom miasta za mądrą decyzję — podziękowania.

■ Sprzedawany w handlu uspołecznionym po 120 zł opakowanie, węgierski płyn do kąpieli oferowano w państwowych komisach po 500 zł. Nie jest to przypadek odosobniony, zachodnie szampony osiągają w tych placówkach ceny od 800 do 1000 zł, a nawet więcej. Nie zapominając o specyfice handlu komisowego, trzeba przecież ów proceder uznać za pospolitą spekulację.

■ Na giełdzie samochodowej też ciekawie (choć mało klientów). Nowe wozy zachodnie można w zasadzie kupić tylko za dewizy, „Fiaty 126 p" proponuje się za bony PKO (np. 1350), nowe „Polonezy" nie schodzą poniżej 600 tys. zł.

■ Jak malował Józef Ignacy Kraszewski, można zorientować się w muzeum biograficznym pisarza w Romanowie gdzie do końca września czynna jest wystawa jego obrazów olejnych i akwareli, wypożyczonych ze zbiorów muzeów narodowych Warszawy, Krakowa i Poznania oraz z Biblioteki Jagiellońskiej. Część eksponatów to własność Romanowa, kilkanaście lat temu — przypomnijmy — przywróconego naszej kulturze przez nieżyjącego już Wacława Czecha.

■ Lubelskie Fabryki Wag, spółdzielnia odzieżowa „Przełom" i spółdzielnia galanterii skórzanej „Asko" to czołowi nasi producenci, którzy mimo kryzysu sporo dają na eksport do krajów europejskich, azjatyckich i USA. Jak dotąd ich towarów nie zatrzymano na granicach lądowych czy morskich.

■ W chełmskiej „Galerii 72" czynna jest do 20 września wystawa malarstwa i rysunku Józefa Hałasa, artysty z pokolenia „Arsenału". Część prac to interesująca, samodzielna interpretacja pejzażu.

■ Natomiast w Galerii Letniej Kazimierza Dolnego otwarto 16 sierpnia ekspozycję rysunku i akwareli Tadeusza Michalaka, architekta, który nie zapomniał o dobrych, artystycznych tradycjach domu rodzinnego. Widzimy Michalaka jako autora teki rysunkowej nt. Kazimierza!

OKOLICE SZTUKI

ŚMIETNIKOWA MAGIA

DOWIADUJĘ się, że komisja powołana przez władze do zbadania przyczyn i okoliczności wyrzucenia na śmietnik części dokumentów i pamiątek po Wiktorze Ziółkowskim zakończyła działalność i lada dzień wiceprezydent Mierzwiński poda do publicznej wiadomości jej ustalenia. Sprawa musiała być wielce skomplikowana, skoro kilkoro ludzi ślęczało nad nią przez kilka miesięcy, od wiosny bieżącego roku, więc z tym większym zaciekawieniem czekamy na oficjalny finał owego skandalu, odkładając tymczasem na bok (albo między opłotki na pl. Łokietka) prywatny smutek i zgryzotę. Nie od rzeczy jednak będzie, jak mniemam, przypomnienie treści dwóch dokumentów à propos, które oprócz — pewnych stotnych wskazówek zawierają zachętę do uprawiania magii — niech czytelnicy sami określają: czarnej czy białej.

Jak wiadomo, niechcianą przez nikogo spuściznę po panu Wiktorze odnaleziono przypadkowo na śmietniku kamienicy Rynek 2 w dniu 13 marca 1981 roku. Tymczasem nieco wcześniej, bo na początku lutego, wicedyrektor Muzeum Okręgowego, Zygmunt Nasalski, polecił paniom z Oddziału Historii Miasta Lublina, osobom o niekwestionowanym przygotowaniu fachowym, dokładne i ostateczne przeszukanie mieszkania po Ziółkowskim, którego rzeczy formalnie zabezpieczono jeszcze w roku minionym i umieszczono na Zamku. Coś przecież mogło umknąć uwadze komornika i ekipy, która w 1980 r. zatroszczyła się o majątek kolekcjonera, krytyka i grafika w jednej osobie.

Tak zatem panie: Jadwiga Chmielak, kierowniczka Oddziału Historii, oraz Helena Borzecka i Władysława Zawiślak, pomoce muzealne, udały się 5 lutego br. pod wskazany adres, gdzie przebywały bardzo długo, o czym informuje „notatka służbowa", podpisana przez pierwszą z nich 3 kwietnia, a więc już po odkryciu „papierów" Ziółkowskiego na śmietniku.

„W pomieszczeniu tym — czytamy w dokumencie — znajdowały się połamane deski, porozrzucane papiery pakowe, tektura, stare gazety oraz części dekoracji choinkowych. Wszystko przemieszane, podeptane, zakurzone leżało na podłodze. W ciągu kilku godzin poszukiwań znalezione zostały niżej wymienione obiekty, które zabrano do Oddziału w Bramie Krakowskiej".

Zdobycz okazała się skromna, choć na pewno warta zachowania. Były to trzy rysunki Ziółkowskiego, dwa afisze, osiem tytułów gazet lubelskich z lat powojennych oraz dwie teczki z wycinkami prasowymi na temat muzeum lubelskiego, którego pierwszym po wyzwoleniu dyrektorem był właśnie pan Wiktor.

Notatkę kończyło zdanie jednoznaczne: „Stwierdzam z pełnym przekonaniem, iż w pomieszczeniu tym nie było innych wartościowych przedmiotów, np. laski czy porcelany farmaceutycznej".

Niedługo potem, jak wspomniano, pracownicy PKZ znaleźli na śmietniku wiele rzeczy cenniejszych od np. laski, których stan zachowania potwiadał, że porzucono je tam niedawno: dzień, dwa dni wcześniej. Zresztą po tym odkryciu 16 marca paniom z Biblioteki im. Łopacińskiego — Stefanii Jarzębowskiej, Ewie Gawareckiej, Irenie Streinik i Wandzie Szwarc — udało się jeszcze to i owo wydobyć ze śmietnika. Przypadkowo uratowany zbiór obejmował takie wartości jak: 220 listów w czterech paczkach, wiele brulionów i notatek Ziółkowskiego, 114 fotografii (wykonanych m.in. przez pana Wiktora), filmy i kilka klisz, ponad dziesięć rysunków, siedem grafik, drzeworyt Wiszniewskiego, 36 plakatów, katalogi, książki, czasopisma (nawet z 1914 roku) i inne cenne dokumenty.

Jak to się mówi: ciśnie się na usta kilka pytań o zasadniczym znaczeniu. Ale czy warto je formułować, skoro lada dzień wiceprezydent miasta wyjaśni nam dokładnie całą sprawę, nie zwalając winy na moce tajemne?

Dodajmy wszakże, że żadnej tajemnej skrytki, w której mógłby być ukryty wymieniony zbiór Wiktora Ziółkowskiego, nie znaleziono w mieszkaniu kamienicy Rynek 2.

IJK

EKRAN I WIDZ

FILMY O WRZEŚNIU

DZISIAJ, kiedy, jak co roku, na łamach gazet, tygodników, w radio i telewizji pojawia się temat Września 1939 r., kiedy w kinach idą powtórkowe zestawy filmów na temat wydarzeń sprzed czterdziestu dwóch lat, warto zastanowić się, na ile sprawy i problemy tamtej jesiennej tragicznej kampanii znalazały odbicie w twórczości naszych twórców filmowych?

Otóż temat Września jest moim zdaniem, traktowany przez polskie kino ciągle w sposób niepełny i — wbrew pozorom — dość marginesowy. Oczywiście, w szeregu filmów fabularnych znajdziemy odniesienia do wrześniowych wydarzeń 1939 roku, („Hubal" B. Poręby) retrospektywne sekwencje filmów traktujących o latach okupacji czy też spotkamy się z akcją osadzoną w realiach polskiej jesieni 1939, r. Ale filmy mówiące o wysiłku zbrojnym polskiego narodu, filmy par excellence „wojenne", możemy dosłownie policzyć na palcach. Powtórzmy: temat Września pojawia się na ekranach kin i telewizorów często, filmów opowiadających o wrześniowej kampanii, filmów „historycznych", dotyczących tego miesiąca walki, mamy bardzo mało. Możemy wymienić wprawdzie jednym tchem „Wolne miasto" i „Westerplatte" Stanisława Różewicza (oba powstałe na podstawie scenariuszy Jana Józefa Szczepańskiego), „Lotną" Andrzeja Wajdy, „Orła" Leonarda Buczkowskiego i „Gdziekolwiek jesteś panie prezydencie..." — nakręcony trzy lata temu przez Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego — ale na tym właściwie koniec. Powstały wprawdzie jeszcze i inne filmy, jak np. „Ptaki ptakom" Pawła Komorowskiego ukazujący walkę śląskich robotników i harcerzy z niemieckimi dywersantami, a następnie oddziałami Wehrmachtu we wrześniu 1939 r., czy — „Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni" Zygmunta Waśkowskiego — o słynnym wypadzie 2 pułku strzelców konnych z Hrubieszowa na odpoczywającą kolumnę niemieckiej broni pancernej, ale nie zapisały się one trwalej w pamięci widzów. Może zabrakło tym filmom siły wyrazu.

Z pięciu filmów, które wymieniłem na początku, najwyżej cenię „Westerplatte" Stanisława Różewicza, nie tylko ze względu na doskonałą zwartość tego dzieła, jego głęboki patriotyczny ton, świetną batalistykę, ale przede wszystkim z uwagi na poważne ujęcie historiozoficzne, na pokazanie, w wycinkowym przecież wymiarze Westerplatte, istoty oraz ducha zmagań polskiej armii z najeźdźcą na wszystkich bitewnych polach września 1939 r. Nie znajduję owych walorów w „Lotnej" Andrzeja Wajdy, gdzie forma i stylistyka zaciążyły nad spojrzeniem historycznym, a artystyczny subiektywizm reżysera wywołał niejedną gorzką refleksję krytyki i liczne sprzeciwy widzów. Choć dzisiaj, po latach, patrzymy na film Wajdy jako na piękny wojenny rapsod, jak na złowrogą pieśń o odchodzącej w przeszłość przedwrześniowej Polsce, to nie możemy przyjąć nadal bez zastrzeżeń pokazanej tam szarży ułanów z szablami na niemieckie czołgi. Doskonale zrobiony „Orzeł" Leonarda Buczkowskiego, opowieść o słynnej ucieczce jednej z naszych łodzi podwodnych z akwenu Morza Bałtyckiego do Wielkiej Brytanii, był już przez sam temat „wyobcowany" z wrześniowych działań wojennych na terenie Polski. „Wolne miasto" Różewicza, film opowiadający o bohaterskiej obronie Poczty Gdańskiej, nie miał mimo wszystko tego wymiaru co „Westerplatte". Nie spełnił też do końca nadziei „Gdziekolwiek jesteś panie prezydencie..." Trzosa-Rastawieckiego o obronie Warszawy i jej prezydencie Stefanie Starzyńskim. Warto przy tym zauważyć, że wszystkie te filmy — z wyjątkiem „Westerplatte", które stanowi, jak wspomniałem, swoisty ewenement — zamykają się w pewnych określonych ramach terytorialnych, mówią o fragmentach wrześniowej kampanii; nie mieliśmy dotąd filmu, którego bohaterowie poprowadzeni by zostali przez reżysera przez c a ł y wrzesień, przynajmniej przez znaczną część jego „r e t r o s p e k t y w y". Tak jak to się stało w wielu dziełach literackich na temat kampanii wrześniowej.

Wyznam na koniec, że do napisania tego właśnie felietonu skłoniła mnie w dużej mierze lektura świeżo wydanej nakładem MON powieści lubelskiego literata Bohdana Królikowskiego „Pamięć wrzosu", o losach 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, którego długi i pełen trudów żołnierskich szlak bojowy zakończył się dopiero aż pod Kockiem, w pierwszych dniach października 1939 r. Pokazał w niej autor ułanów nie tylko jako chłopców malowanych, ale także doskonale wyszkolonych, przygotowanych do walki i potrafiących bić się i zadawać poważne ciosy nieprzyjacielowi. Warto, aby po tę książkę sięgnął któryś z reżyserów filmowych.

M.D.

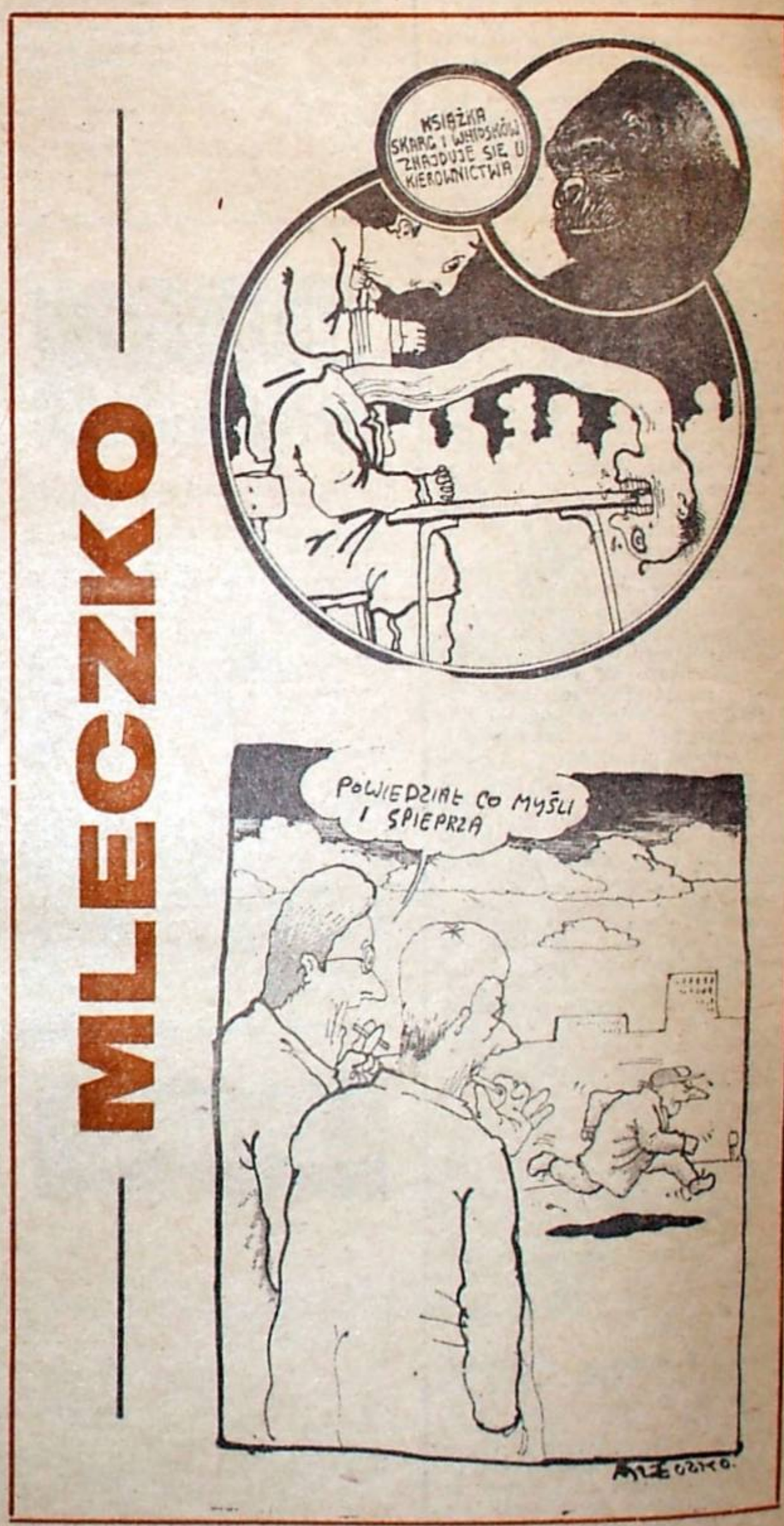

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłoza.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—15.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 233-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36751. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 775-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
N-4